

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(69) 2012

Homilia ks. J. Nikla ♦ Uczczono Matkę i Syna ♦ O cmentarzyku Żelaznej Kompanii ♦ Prof. Węgrzynowicz i dr Jedliński wspominają czasy młodości ♦ Rozmowa z E. Cieńską-Fedorowicz ♦ Rozmowa z B. Ołasińską ♦ Prof. Nicieja o Karpatach ♦ T. Olszański o Atenach Pokucia ♦ M. Obercowa wspomina okupację ♦ T. Krzyżewski o lwowskich artystach

Aby zrozumieć i zapamiętać

Udało się wejść w ten dwunasty rok XXI wieku, a zarazem osiemnasty naszej kwartalnikowej obecności w powojennym życiu. Nade wszystko jednak jest to 68. rok przeżywany poza naszą małą ojczyzną, poza Lwowem, poza setkami większych i mniejszych miast, wiosek, osiedli. Na świat przychodzi od tamtego czasu trzecie albo i czwarte pokolenie. Czy dla tych dzieci jest albo czy będzie ważne, że jedno lub kilkoro z ich przodków pochodziło zza jałtańskiego kordonu? Zwłaszcza jeśli urodzą się gdzieś w zachodniej Europie, w Ameryce, Australii, południowej Afryce? Albo w Nowej Zelandii – o tych powojennych sierotach z Kaczachstanu i Syberii jest wszak pasjonująca książka. I nie tylko o nich.

Nasza mała ojczyzna pozostała w większości bez wielowiekowej społeczności Polaków, ostało się ich tam niewielu. Ktoś nam powiedział: przecież w Krakowie też już nie ma przedwojennych krakowian. Wymarli, wyjechali. Na ich miejsce przyszły nowe pokolenia, a wielka masa napłynęła z pobliskich i dalszych okolic. I z bardziej odległych stron, jak my – ze Lwowa, z Podola, Pokucia, Wołynia...

A tam, za jałtańskim kordonem?

Cóż, jest w tym pewna subtelna różnica. Nowy Kraków, Warszawę czy Lublin zasiedlają Polacy, którzy miejscową tradycję przejmują jako swoją. Domy, ulice i ich nazwy, kościoły i ich duch są dalej takie same. Pozostają w większości te same rodziny i ich tradycje. Język i pismo.

Na miejsce, które my musieliśmy opuścić, przyszli całkiem inni. Także ci z okolic i także ci napływowi – innych nacji, nawet ras, innych języków, pisma, obyczajów. Czasem obojętni, czasem życzliwi, a czasem nieprzyjaźni. Przejęli nasze domy i świątynie, nasze monumenty, pamiątki i księgozbiory.

Nam pozostały resztki, z których tylko małą część udało się zatrzymać albo wywieźć. Z kilkudziesięciu kościołów Lwowa została nam Katedra i św. Antoni, a o Marię Magdalenę dobijamy się od lat; w Stanisławowie i Tarnopolu najważniejsze kościoły przepadły, uratowała się tylko piękna gotycka fara w Drohobyczu. Nieporównane w swym bogactwie architektoniczno-rzeźbiarskim i malarskim zamki z Podhorcami na czele, liczne kościoły poczynając od Hodowicy i Monasterzysk (Pinsel!), Horodenki, Brzeżan, Podhajec – utraciły swoje wspaniałe wnętrza i dzieła sztuki. Poniszczyli nam większość cmentarzy i pomników. Z Ossolineum, muzeów i domów prywatnych dużą część dobytku rozkradli trzej okupanci...

Przez owe minione siedemnaście lat staramy się w tym piśmie wszystko to uświadamiać naszym krajanom, ich dzieciom i wnukom, żeby pamiętali. Bo zawsze trzeba pamiętać o rodzinnym domu, o ojcach i dziadach, o starych księgach.

A dziś to nawet w modzie, więc powinni zrozumieć!

Na I s. okładki:

SOBIESKI POD WIEDNIEM, fragment obrazu bitwy z Kolegiaty św. Wawrzyńca w Żółkwi, mal. 1688
Martino Altomonte (1657–1745)

Karnawał



Archiwum

Bal w salach Uniwersytetu JK lub Politechniki we Lwowie, koniec lat 1920.

93. ROCZNICA OBRONY LWOWA 1918 r.

Jak co roku – w dniu 22 listopada o godzinie 17⁰⁰ spotkaliśmy się Bazylice Mariackiej na uroczystej Mszy Świętej w intencji obrońców Lwowa 1918 r. – Lwowskich Orłąt.

Niestety co roku przychodzi coraz mniej dawnych mieszkańców Miasta Semper Fidelis, ale cieszy nas liczny udział młodzieży szkolnej i harcerzy.

Uroczystej koncelebrze przewodniczył ks. prałat Jan Nikiel – proboszcz lwowskiej Katedry Łacińskiej, w mszy uczestniczyło pięciu księży. Słowo wprowadzające wygłosił ks. prof. Józef Wołczański, a homilię, której treścią była aktualna sytuacja Kościoła na Kresach, wygłosił ks. prałat Nikiel. Podczas mszy św. pięknie śpiewał chór I Liceum im. Henryka Nowodworskiego pod dyrekcją p. Ryszarda Żróbka, na organach grał p. Zygmunt Kokoszka. Modlitwę wiernych odczytali harcerze z ZHR. Licznie przybyła młodzież szkolna z nauczycielami. Był, jak zawsze, poczet sztandarowy – Sztandar Okręgu Lwowskiego AK niósł p. Tadeusz Sura, Sztandar Harcerzy – krakowscy rówieśnicy ówczesnych Lwowskich Orłąt. Na zakończenie uroczystości zaśpiewano *Rotę*.

Marta Walczewska

Ks. Jan Nikiel*

HOMILIA 22 LISTOPADA 2011 w Bazylice Mariackiej w Krakowie

Patrząc na historię świata widzimy, że wiele było domów zbudowanych na piasku. Przechodziły era jedna po drugiej, cywilizacje za cywilizacjami. Każdy twórca mienił się być bogiem. Tak też było i na Wschodzie. Słyszeliśmy w pierwszym czytaniu, że Abraham wyszedł do kraju, do którego Bóg polecił mu wyjść. I wyszedł ze względu na swoją wiarę. Dzisiaj spotykamy się w tymże pięknym kościele, w bazylice, zwłaszcza ci, którzy wyszli ze swojego kraju i przyszli do swojego kraju, ale to przejście było inne. To przejście było bolesne, bo zostali z tego kraju wyrzuceni. Jednak dzisiaj chcemy popatrzeć na te ziemie i zobaczyć tam tych, którzy zostali. Bo zostali. Bo Lwów, który zawsze był wierny, jest dalej wierny. Ale jakże inaczej się dzisiaj tam żyje. Pracuję na Wschodzie od 1991 roku. Jak ks. Profesor** wspominał, na początku pracowałem w Stryju. To jest miasteczko położone 70 km na południe od Lwowa. Pragnę podzielić się tymi doświadczeniami, ponieważ młode pokolenie bardzo często już nie pamięta i nie zna, bo skąd może pamiętać, albo skąd może znać, jeżeli tam nie bywa. A są to miasta bardzo związane z Polską, bo któż nie zna Makuszyńskiego i Koziół-

ka Matołka. Ale to właśnie miasto, gdzie on się urodził. Makuszyński tam chodził do szkoły. I nawet jest tam wspólnota. Oprócz Stryja dojeżdżałem do trzech innych kościołów. 60 km na północ jest miasteczko Brzozdowce, teraz wioska. Zwartą wioską, gdzie hrabina Rzewuska ze swojej inicjatywy wybudowała przepiękny kościół, którego architekt Meretyn był znany w ówczesnym świecie. I ten kościół został przerobiony na magazyny. Nie miał dachu, nie miał okien. A na górze, właśnie tam gdzie był dach, karczowali drzewa. Parometrowe drzewa rosły w miejscu, gdzie miał być dach.

Na południe od Stryja, 40 km, jest miasteczko Skole. To może zainteresować przede wszystkim harcerzy. Bo wiemy, że harcerstwo powstało we Lwowie, ale pierwsze drużyny jeździły na narty, na obozy właśnie do Skolego. Do tego maleńkiego miasteczka na południu, gdzie również jest stuletni kościół. Ten kościół również nie miał ani dachu, ani drzwi. Jakże smutny to był widok, kiedy w 1991 roku otrzymaliśmy zgodę na odbiór tego kościoła. Po prawie rocznym dobijaniu się w Kijowie o ten kościół, o te ruiny. Bo nie chciano nam ich oddać. Udało się. Dzisiaj kościół jest odbudowany. Ale jakże



smutny to był widok, kiedy wchodząc do kościoła bez drzwi, bez okien, bez dachu, widziałeś wałęsające się psy, a że środka wyrzuciliśmy 150 samochodów ciężarowych śmieci. Tam była elektrownia. Spaliła się i tak zostało. I jeszcze jeden kościół, którym się opiekowałem. Żydaczów. Komuniści zrobili z tego kościoła przystanek autobusowy, a w miejscu, gdzie był ołtarz, sprzedawano piwo. Wiele lat. I tak przez wiele lat odwiedzałem te cztery kościoły, jeżdżąc 200 km, odprawiając cztery msze święte. I to przypominało misję. Kiedy przyjechałem w 1991 roku do Lwowa, było 33 księży, którzy pracowali w 75 kościołach. Dzisiaj jest już 180 księży, którzy pracują w 350 kościołach. Widzimy więc, że rozwój kościoła łacińskiego jest ciągle aktualny, coraz więcej wspólnot. Owszem, są wielkie problemy. Tam, gdzie parafie były kilkunasto- czasami kilkudziesięciotysięczne, dzisiaj są wspólnoty, które mają sto, czasem pięćdziesiąt osób. W Skolem jest trzydziestu parafian. W Żydaczowie 150. W Brzostowcach również około stu. Stryj – to duża parafia, bo ma pięćset osób. I dlatego te ciągle apele i prośby o pomoc, bo one są uzasadnione: tam zostali Polacy, którym trzeba pomóc. Pomagamy im, bo przychodzimy do nich z Ewangelią. Przychodzimy do nich z Pismem Świętym, z katechezą. Ale trzeba pomóc też inaczej.

Obecnie, pracując we Lwowie, doświadczam dużej wspólnoty. Parotysięcznej, bo katedra zawsze była pełna i dalej jest pełna. Ale problemy są trochę inne. Rozpoczęła działalność fundacja, która zaczyna opiekować się dziećmi. To domowe hospicjum

dziecięce. Stąd ten symboliczny grosz, o który prosimy właśnie dla tych dzieci chorych na raka. Kiedy wspominamy ten czas, czas, kiedy budowano dom na piasku, wówczas widzimy, że ten czas pozostawił trwałą ślad i w miejscach, bo była rujnacja kościołów, ale także i w duszach ludzkich. Musimy sobie uświadomić, że na tym terenie, gdzie przed wojną było czynnych blisko półtora tysiąca kościołów i kaplic, po wojnie zostało tylko trzynaście. Tak potężny kraj, właściwie pół Polski i trzynaście kościołów. Niektórzy mieli do kościoła 200, niektórzy 300 kilometrów. Znam takich, którzy odwiedzali kościół co niedzielę przez wiele lat. Mieli do kościoła 30–40 km i nigdy nie opuścili z własnej woli mszy świętej. To jest świadectwo wiary. Ten kościół nigdy nie zginie mając takich parafian. Jak ktoś miał 100 km, mówił, że przynajmniej raz na miesiąc trzeba w kościele być. Tak że w porównaniu z tym nasza gorliwość bardzo często wypada słabo. Wystarczy jakaś okoliczność i już mówimy, że na mszę św. nie możemy przyjść, bo jest przeszkoda. Musimy sobie uświadomić, tych ludzi młodych zwłaszcza, wtedy, kiedy nie wolno było mówić po polsku, a jednak były domy, w których mówiło się przez cały czas w języku polskim. Opowiadają właśnie ci ludzie, dzisiaj dorośli, jak ich wywoływano, jak w szkole stawiano na apelu mówiąc: to jest ktoś, kto chodzi do kościoła, jako kogoś najgorszego. To były świadectwa i ci ludzie dzisiaj budują nasz kościół, kościół łaciński, kościół Chrystusowy. Nie jest łatwo wyznawać wiarę, zwłaszcza tam, gdzie się jest mniejszością, bo w tej chwili jesteśmy tam mniejszością. Jak we Lwowie były dwa kościoły także i za czasów komunizmu, tak i dzisiaj za demokracji mamy dalej dwa kościoły. Nie został oddany żaden, a kościół Marii Magdaleny dalej jest filharmonią. I chociaż odbywają się tam msze św., to ciągle nie jest to nasz kościół. A wspólnoty rosną, bo i na Zboiskach Zmartwychwstańcy wybudowali kościół na osiedlu i na drugim, na Sichowie, wybudowano, tam buduje się teraz kościół, a kaplica została wybudowana. Jest już parę ośrodków duszpasterskich, ale to ciągle za mało.

Modląc się dzisiaj za ofiary tych wojen, za Polaków, którzy polegli tam, na tych ziemiach, za Polaków, którzy musieli opuścić

cić swoje rodzinne strony, pamiętajmy o tym, że oni dalej tam są i Bóg czuwa. Ktoś może powiedzieć: jakie jest to czuwanie, skoro tak wielkiego zniszczenia dokonano na Kościele. A jednak Bóg ma swoje cele i Bóg nawet w chwilach tragicznych potrafi ukazać okienko, przez które zaczyna świecić słońce. Przypominam, jak jeden z kapłanów ówczesnych, a obecny biskup łaciński w Łucku opowiadał o kościele w Borszczowie, na którym wichura strąciła krzyż. To były trudne czasy stalinizmu i wówczas nikt nie myślał o tym, aby odbudowywać kościoły. Nie wolno było nawet myśleć. I kiedy ten krzyż pod wpływem wichury się zawalił, wówczas myślano, że już nikt go nie postawi, ale nagle któregoś dnia zostaje wezwany do komitetu partyjnego i mówią mu: proszę natychmiast postawić krzyż. Nie pytał dlaczego, tylko wrócił i razem z parafianami bardzo szybko ten krzyż postawili. Cóż się okazało. Niedaleko było lotnisko wojskowe, lotnicy chcąc wylądować, zawsze szukali krzyża i dzięki temu krzyżowi znajdowali drogę na swoje lotnisko. Kiedy krzyża zabrakło, lotnicy nie potrafili wylądować więc domagali się, żeby ten krzyż postawić.

I znamienne niech będzie zakończenie tych rozmyślań nad Wschodem. Krzyż jest znakiem zwycięstwa, a przede wszystkim znakiem dotarcia do serc. Dzięki krzyżowi widzimy cel. Jeśli go wyrzucimy, jeśli pozwolimy go wyrzucić, jeżeli pozwolimy, że zniknie z naszego horyzontu, nic nie będzie już takie jak poprzednio. Będzie to dom wybudowany na piasku. Chcąc wylądować w ramionach Ojca Niebieskiego starajmy się, by krzyż był w naszym centrum, nie tylko naszych oczu, ale przede wszystkim w centrum naszego życia. Amen

* Ks. kanonik Jan Nikiel jest od niedawna proboszczem Katedry Łacińskiej we Lwowie. Poprzednio przez szereg lat był proboszczem w Stryju.

** Ks. prof. dr Józef Wolczański, który był głównym celebransem omawianej mszy św.

Aleksander Medyński

ŻELAZNA KOMPANIA NA ŁYCZAKOWIE

Prezentujemy opis Cmentarzyka „Żelaznej Kompanii” z 1831 r. na Cmentarzu Łyczakowskim wedle stanu przedwojennego, opisanego przez znanego lwowskiego autora przewodników. Część kwatery została bezpowrotnie zniszczona w czasie drugiej okupacji sowieckiej – powstały tam grobowce komunistycznych dygnitarzy. Usunięte krzyże porzucono na trawniku pozostałej części cmentarzyka, tak dotrwały do dziś. Obecnie staraniem krakowskiego TMLiKPW istniejąca część zostaje uporządkowana, a zniszczone przez upływ czasu elementy architektoniczne ulegają odnowieniu. Dotyczy to zarówno ww. metalowych krzyży, jak i pięknego symbolicznego kamiennego sarkofagu, którego części uległy spękaniu i pokruszeniu.

W jednym z kolejnych numerów pokażemy zdjęcia cmentarzyka po pracach renowacyjnych.

Cmentarzykiem „Żelaznej Kompanii” nazywają cmentarne pole, które w swym wnętrzu mieści kości uczestników powstania 1830/31 roku. Najkrótsza droga na ten zaciszny cmentarzyk, położony na skraju w południowo-zachodniej stronie cmentarza Łyczakowskiego, wiedzie z głównego ronda

Wyrwane z ziemi krzyże czekają na uporządkowanie i ustawienie w nowych miejscach oraz wykopanie fundamentów do ziemi



prawą aleją (wskaźnik: Na cmentarz 1830/31), z której pierwszą drożyną po prawej stronie (pomiędzy polem nr 71–69) dochodzimy do położonego po lewej stronie cmentarzyka „Żelaznej Kompanii”. W przededniu półwiekowej rocznicy listopadowej rewolucji w roku 1880 Rada Miejska spełniła piękny czyn, ofiarowując na Cmentarzu Łyczakowskim odrębną parcelę pod specjalny cmentarzyk dla uczestników walk z lat 1830/31. Na czworoboku pola nr 71, okolonym niskim żywopłotem, widać obok kilku pomników cztery szeregi ustawionych krzyżów żelaznych, opatrzonych białymi tablicami, tworzących poważną i surową grupę w swym ujęciu.

W pośrodku czworoboku Cmentarzyka „Żelaznej Kompanii” widnieje ogromny kamienny sarkofag dłuta Henryka Periera. Na sarkofagu, pokrytym w części sztandarem, są złożone szable i ułański kask. Orzeł z rozpostartymi skrzydłami uzupełnia dekorację sarkofagu. Na frontowej ścianie napis:

Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor

a poniżej:

Weteranom Wojska Polskiego z 1830/31 r.

Cztery rządy mogił ułożono na tym cmentarzyku. Od prawej strony:

I Rząd:

Longchamps de Berier Bogusław (1808–1880),
dr medycyny

Skolimowski Ludwik Julian (1813–1888)

Kunaszowski z Kunaszowa Hieronim, Oficer WP
(1806–1885)

Kunaszowski z Kunaszowa Maksymilian (1792–
–1852)

Długoborski Topór Wilhelm (1813–1885)

(Krasulski Gabriel (1837–1885), uczestnik walk
1863/64, artysta rzeźbiarz)

Zawałekiewicz Józef (1811–1885)

Żmigrodzki Karol (1809–1885), podoficer

Kruszewski Stanisław (1809–1885)

Gędziński Seweryn (1813–1886).



Symboliczny sarkofag Cmentarzyka Żelaznej Kompanii – widoczne zniszczenia kamieniarki

II Rząd:

Granatowski Jan (1811–1891)

Bogdanowski Henryk (1804–1887), oficer, autor
cennych pamiętników

Bogucki Krzywda Antoni (1812–1881), ułan 5. p.,
uczestnik bitwy pod Grochowem i całej kampanii. Wzięty do niewoli, zamknięty w cytadeli warszawskiej, skazany na 15 lat katorgi. Trzy razy uciekał z Sybiru, lecz bezskutecznie. Na skutek amnestii uwolniony z wygnania. Organizator powstania w r. 1863 w powiecie tarnopolskim i brzeżańskim. Przeniesienie zwłok z Cmentarza Stryjskiego zostało dokonane w r. 1936

Jasieński Rawicz Ignacy (1813–1887), ułan 2. p.

Hałakowski Łukasz (1806–1888)

Ostrowski Euzebiusz (1807–1890)

Beck Jan (1811–1895)

Lorenz Wincenty (1804–1884)

Siemiątkowski Wiktor (1806–1884)

Konopacki Władysław (1818–1884)

Cięglewicz Kasper (1807–1886), głośny ongiś
emisariusz

Bombiński Maciej (1808–1885)

Czaplicki Władysław (1828–1886), literat, wię-
zień stanu

Potocki Kazimierz (1809–1886).

III Rząd:

Reitzenheim Józef (1809–1883), syn osławionego
biurokraty Niemca, lecz gorący Polak, kawaler
Krzyża Virtuti Militari, na emigracji szczerzy
przyjaciel Juliusza Słowackiego

Czerczyk Jan Kanty (1811–1899), oficer

Piazza Jerzy (1804–1893)

Emmount Edward (1806–1893), oficer

Nierzeński* Leliwa Rafał (1805–1891), oficer
strzelców konnych, kawaler Krzyża Virtuti
Militari. Emblematami wojskowymi pokryty
kamień grobowy.

Pośrodku tego rzędu znajduje się symboliczny sarkofag dłuta H. Periera.

Barycki Michał (1813–1891)
Krukowiecki Feliks (1805–1891)
(Ostrowski Ksawery (1813–1890), uczestnik walk 1863/64)

Pawłowski Szymon (1805–1890).

IV Rząd:

(Łuniewski Jan Aleksander (1834–1887), uczestnik walk 1863/64)

Pfeifer Jan (1811–1883), ułan 2. p.; na grobowej płycie emblematy wojskowe

Kociałkiewicz Aleksander (1812–1894)

Pomiankowski Izidor (1812–1895)

Leszczyński Józef (1800–1896)

Przeździecki Alojzy (1800–1897)

Czarnecki Łodzia Józef (1809–1897)

Kwiatkowski Kazimierz (1800–1897)

Babiński Józef (1814–1898)

Tytz Karol (1807–1898)

Kasperski Franciszek (1807–1885)

Skaliński Antoni (1806–1895)

Kostrzewski Wincenty (1811–1894)

Rutkowski Stanisław (1802–1893), podoficer

Sowiński Józef (1811–1893).

Na cmentarzyku „Żelaznej Kompanii” spoczywa 47 uczestników powstania 1830/31 r., główny natomiast zastęp towarzyszy ich broni, którzy zmarli przed 1880 rokiem, zatem przed utworzeniem Cmentarzyka, rozsiany jest po całym Cmentarzu Łyczakowskim (zdołano naliczyć 146 jeszcze niezniszczonych mogił grobowych poza obrębem cmentarzyka „Żelaznej Kompanii”, rozrzuconych na ogólnym cmentarzu).

Ostatnim z uczestników walk z r. 1830/31, który spoczął w roku 1916 na Cmentarzu Łyczakowskim, był 101 lat liczący ks. Franciszek Iwanicki (1815–1916), żołnierz z r. 1830/31 i 1863/64, jubilat 75-lecia kapłaństwa, na przestrzeni 40 lat proboszcz w Wołkowie, zasłużony działacz społeczny, przezacny kapłan i inicjator budowy kaplic. Ks. Iwanicki pochowany został na cmentarzu powstańców styczniowych.

* Na płycie grobowej podano nazwisko *Mierzyński*.

Remigiusz Węgrzynowicz

WSPOMNIENIA ZIEŁONEGO MUNDURKA

Chłopcy w zielonych mundurkach,

w okrągłych kapeluszach, z plecakiem i laską, wędrujący w dni pogodne i słotne zauroczyli mnie. Pragnąłem zostać jednym z nich. Obraz harcerza z karabinem – *Straż nad Wisłą*, wiersz *O matko, otrzyj oczy...*, to wzorce. W roku 1931 wstąpiłem do gromady suchów przy VII drużynie harcerskiej w IV gimnazjum. Komendantem był druh Wilhelm Zajac. Pierwszy obóz przy Czartowskiej Skale, pierwsza noc pod namiotami, pierwszy obiad – kasza gryczana i gulasz. Kaszy za dużo – nie mieściła się w kociołku, stale jej przybywało!? Dziwne dla zucha? Później, po zdobyciu sprawności kucharza, wygotowywało się „frykasy”. Na jachcie harcerskim za źle ugotowany obiad wyrzucano harcerza za burtę, a jak się dobrze wykapał, w drodze łaski, wylawiano.

W gromadzie suchowej zdobyłem 3 gwiazdki i wilczka. Drużyny, do których należałem kolejno, to Czarna Trzynastka im. Zawiszy Czarnego, przy szkole Kordeckiego, drużynowy Moss; a następnie „piątka” im. Władysława Jagiełły przy XII gimnazjum, drużynowy – Jan Kozłowski. Ostatnia to 34 im. Stefana Rogozińskiego. Drużynowym był Włodzimierz Goc, później Gustaw Burtan, następnie Edward Susłowski. Byłem załogowym (zastępowym) „Korsarzy”, w stopniu ćwika żeglarza. We wrześniu, po kampanii obrony Lwowa, otrzymałem stopień HO i HR, wpisane do książeczki przez namiestnika I = phm. Stanisława Tereskiewicza.

Nie posiadałem szczególnych zdolności manualnych, ale z konieczności byłem współbudowniczym łodzi i kajaków. Nie uczyłem się gry na żadnym instrumencie, ale na trąbce sygnałowie umiałem zagrać „bacność”, „spocznij”, pobudkę i coś jeszcze. Na harmonijce i gitarze, przy ognisku, również muzykowałem bez wirtuozerii. Nigdy nie byliśmy ponurakami. Nie posiadałem zdolności komercyjnych, ale z kolegami zarabialiśmy sprzedając kartki świąteczne,

palmy, świece nagrobkowe, braliśmy udział w festynach itp. Zarobione pieniądze umożliwiły nam zakup sprzętu obozowego, mebli do izby harcerskiej, łodzi itp.

Wędrówki piesze, rowerowe, wodne i kilkuniedniowe obozowiska wyrabiały sprawność fizyczną i zaradność. Zdobywanie stopni harcerskich, żeglarskich i sprawności dyscypliny, koleżeństwo, przyjacielski stosunek do wszystkiego co nas otacza – ludzi, świata zwierzęcego i roślinnego. Zostawialiśmy po obozie miejsce w takim stanie, aby nie można było poznać naszej działalności. W czasie obozów stałych i wędrownych nawiązywaliśmy kontakt z ludnością, pomagaliśmy przy pracach polowych, a dzieciom – w nauce i rozrywce.

Życie harcerskie wypełniało mi cały czas wolny od zajęć szkolnych, do których, przyznam szczerze, nie garnąłem się. Miałem jednak zakodowane w podświadomości, że aby być użytecznym społecznie, muszę posiadać wiedzę, skończyć szkołę, studia, zdobyć wolny zawód. Te prawdy powtarzano nam wszędzie, na spotkaniach i gawędach przy ognisku. Na naukę w domu nie miałem wiele czasu i ochoty. Chęć działania, temperament roznosiły nas. Wycieczki, obozy, zimą narty (również nocą), zdobywanie stopni, kursy żeglarskie wypełniały nam czas. Staralem się wykorzystać maksymalnie czas w szkole, uważając na lekcjach. Czasami miałem kłopoty, ale nigdy nie powtarzałem roku. Dopiero na studiach zacząłem zdawać sobie sprawę, jak wiele straciłem, jak wiele muszę nadrobić.

Po obronie Lwowa i wkroczeniu Sowietów z munduru wojskowego przebrałem się w mundurek uczniowski (już bez tarczy na rękawie i emblematu na czapce). Byłem w klasie maturalnej. Nie posiadałem predyspozycji do pracy konspiracyjnej. Wykonywałem zadania zlecone, zdając sobie sprawę, że są to bardzo małe kółeczka w dużej maszynie konspiracyjnej. Czuję niedosyt. Byłem niewartościowany. Byłem świadomy, że wojna się zakończy, a naród nasz, aby egzystować wśród innych, musi posiadać inteligencję wykształconą, której szeregi, niestety, w czasie wojny z każdym rokiem się zmniejszały (straty w działaniach frontowych, Katyń, wywózki na Sybir, aresztowania, obo-

zy koncentracyjne, emigracja z wojskiem na Zachód itp.) w zastraszająco szybkim tempie. Wiedziałem, że walka o egzystencję narodu odbywa się na szerokim froncie, że oprócz otwartych działań wojskowych i konspiracji, konieczne jest zdobywanie wiedzy. Trudne warunki materialne, niedostatek żywności skłaniały do zdobywania pieniędzy na zaspokajanie podstawowych potrzeb. Alkohol i papierosy były nie tylko przedmiotem handlu, ale również używane niestety przez młodzież. Mimo wielu okazji nie paliłem papierosów ani nie używałem alkoholu – wyniosłem to z harcerstwa.

Po maturze podjąłem pracę w najcięższym oddziale szpitala psychiatrycznego na Kulparkowie. Przez 9 miesięcy pracowałem z ciężko chorymi psychicznie oraz z symulantami z więzienia. Była to specyficzna szkoła odporności psychicznej, sprawności fizycznej i nauki od świata przestępczego. Następnie podjąłem pracę w Instytucie prof. Weigla, skąd zostałem przeniesiony do filii Instytutu Behringa. Byłem karmicielem wszy przeznaczonych na szczepionkę przeciwtyfusową. Zajęcie to nie dawało wiele pieniędzy, ale dodatkowe kartki żywnościowe, tzw. Zusatzkarte (marmolada z bruwki i odciągane mleko), a ponadto niezły „Ausweiss”, przydatny w większości łapanek.

Walka o byt jednostki oraz walka o egzystencję narodu wynikała z brutalnej „okupacyjnej nocy”, nieludzkich warunków życia codziennego, okrucieństwa okupanta. W walce tej naród nasz wykazał wysokie wartości moralne, ofiarność i wielką solidarność.

Po skończeniu wojny

powrót do normalnego życia był trudny dla wielu, a jeszcze trudniejsze było nadrabianie braków wykształcenia. Nie wszyscy niestety mieli możliwości względnie zdobyli się na ukończenie szkoły czy studiów. Okres okupacji był szkołą kształtowania charakterów. Niedostatek materialny i okrucieństwo



Autor na zdjęciu z lat średnich

okupanta sprzyjały wypaczaniu charakterów. Niełatwo było wykonywać pracę (czasem bardzo ciężką), do której nie było się przystosowanym. Niełatwo było wykonywać zadania wojskowe w konspiracji, wymagające odwagi, poświęcenia tego, co najcenniejsze. Niełatwo było również w tych warunkach stworzyć motywację i dyspozycję psychiczną, zmobilizować się wewnętrznie, aby w niedostatku, brakach żywnościowych, nieopalanym mieszkaniu czy zagrożeniach na każdym kroku usiąść nad książką i przyswajać sobie jej treść. Każdy z nas młodych wybierał taką drogę, którą uważał za najwłaściwszą, albo przyjmował tę, jaką mu los narzucił.

Harcerstwu zawdzięczam zaradność, umiejętność przystosowania się do trudnych warunków. Praca zarobkowa nie zaspokajała moich aspiracji – była koniecznością. Rozumiałem, że nie mógłbym zakończyć swojej edukacji na szkole średniej. Skorzystałem z okazji, że okupant zezwolił na studia na kilku wybranych kierunkach, potrzebnych dla gospodarki III Rzeszy. Podjąłem studia na Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Głodno, chłodno, dorabiając karmieniem wszy, uczestniczyłem w zajęciach na uczelni, praktycznie cały dzień. Wymagania były bardzo wysokie. Profesorowie nie przewidywali ulgowej taryfy. Chwała im za to! Zacząłem zdobywać wiedzę po raz pierwszy z pełnym zaangażowaniem. Po niełatwych całodziennych zajęciach w klinikach i laboratoriach, posiliwszy się trudnym do jedzenia chlebem „okupacyjnym”, a czasem kartoflanką, owinięty kufajką, siadałem przy lampie naftowej i starałem się przyswoić z zapisków i skryptów jak najwięcej. Często krzyki pijackie z najbliższego sąsiedztwa zmuszały do zastykania uszu w czasie nauki. Nieodstępnymi moimi towarzyszami, przez całą zimę, były mucha, siadająca na lampie, i mysz, która wychodziła z nory, zwabiona zapachem chleba. Siadała na tylnych łapkach obserwując mnie i czekając, kiedy podzielę się okruchami, których nie było wiele. W tym niełatwym okresie naszej młodości, ciężkiej pracy, zdobywania wiedzy, znajdowaliśmy również czas na spotkania, tańce, a także miłość. Niedostatki materialne nadrabialiśmy młodością, fantazją, pomysłowością. Stare obuwie przerabialiśmy na „modern” dla siebie, a czasem dla koleżanek. Każda umie-

jętność zdobyta w przeszłości była przydatna. Po wielu latach nieuctwa w gimnazjum musiałem wypracować technikę uczenia się. Braki, szczególnie w naukach ścisłych, wymagały uzupełnienia. Uczyliśmy się z własnych notatek, skryptów. Zdobyte podręczniki pożyczaliśmy sobie na krótki okres. Silna motywacja, że muszę przyswoić określoną wiedzę w limitowanym czasie (nie przewidywaliśmy powtarzania roku), w trudnych warunkach zakłócanych zdarzeniami wojny, wyzwalała energię do pokonywania tych trudności. Pierwsze sukcesy – zdane egzaminy – pozwoliły uwierzyć, że nota celująca jest także osiągalna. Był to początek mojej drogi, której poświęciłem swoje życie.

Po okresie okupacji rozpocząłem pracę, wraz z innymi, od przystosowania zdewastowanych wojną budynków Uniwersytetu Wrocławskiego do zajęć dydaktycznych. Podjąłem pracę dydaktyczną i rozpocząłem pracę doktorską. Równocześnie wstąpiłem na studia medyczne (od 3 roku studiów). Praca na uczelni bardzo mi odpowiadała, ale... pewnego dnia wyjechałem na prowincję. W zastępstwie kolegi „musiałem” interweniować u chorego zwierzęcia. Urok pracy lekarza, możliwość niesienia pomocy zwierzętom pochłonęły mnie. Zrezygnowałem z kariery naukowej. Jak się okazało, nie na zawsze. Po kilku latach wróciłem na uczelnię. Rozbudzony proces zdobywania wiedzy był widocznie moim przeznaczeniem.

Pierwsze lata powojenne

wymagały szczególnego zaangażowania i inwencji organizacyjnej dla stworzenia bazy materialnej potrzebnej do wykonania zawodu. Jeżeli pokolenie nasze zdało pozytywnie ten egzamin społeczny, zawdzięczamy to w znacznej mierze wychowaniu w organizacji wyższej użyteczności społecznej – harcerstwu.

Jesteśmy pokoleniem, które rozpoczęło pracę w zupełnie innych warunkach niż nasi ojcowie. Po II wojnie światowej przekazano nam ziemię zdewastowaną, zniszczone miasta. Zdziesiątkowana była inteligencja twórcza, młodzież niedokształcona w wyniku pięciu lat okupacji.

Pokonywanie trudności w pracy naukowej w warunkach surowych – to szeroki

dokończenie na s. 64

Barbara Litwiniukowa

KULPARKÓW

trochę historycznie, trochę rodzinnie

Do Zakładu dochodziło się pieszo. Od ostatniego przystanku tramwajowego na ulicy 29 Listopada, dokąd dowoziła nas dawniej „4” – a ostatnio już nowocześniejsze wagony „2”, szło się na ukos przez glińskie pole – jakie tam bywały błota! – choć rosło kilka drzew i trawa także, gdzie można było przysiąść i odpocząć. Dalej schodkami do stojącego już na skarpie domu dróżnika – kiedyś był tu ponoć czynny krótki przystanek kolejowy. Linia kolejowa w wykopie prowadziła do Stanisławowa i Kołomyi, i przez Śniatyn – do Rumunii. Dalej wchodziło się na solidny drogowy most nad torami i podążając tylko lewą stroną Kulparkowskiej Drogi – i to „chodnikiem” z dwóch szerokich desek – zupełnie bez właściciela, więc zawsze w kiepskim stanie, szło się równoległe do specjalnej zakładowej bocznic kolejowej, zamykanej na bramę od strony obszernego placu, gdzie składano już wszystkie przywożone towary.

Na prawo znów puste pola, a na ich tle gruba rozłożysta topola, zawsze ozdobiona pękami krzaczków jemioli. Za nią boczna, tak zwana Czerwona Droga prowadziła do cegielni w Sygniówce. Dalej, za parkanem – posiadłość państwa Klimowiczów, gdzie w kępie szpilkowych drzew stał stary ciemny krzyż, który czasem serdecznie pozdrawialiśmy, ciesząc się że już blisko do celu.

Teraz zaczynała się część ulicy zabudowanej różnymi małymi rodzinnymi domkami. Po naszej lewej stronie był dalej tylko głęboki rów, czasem z wodą, wzdłuż niego gęste, grabowe zarośla, w których czasami kryli się mniej sympatyczni baciary, strasząc dla żartu pośpiesznych przechodniów lub co gorsza, wyskakując z krzaków, wyrwali przerażonym paniom torebki. To działo się jeszcze po I wojnie światowej, a Mama osobiście tego doświadczyła. Wreszcie dochodzimy do żelaznej, dość ozdobnej bramy i to w takim zgniłzielonym kolorze, wchodzi-

my przez furtkę, przy domku portiera, który nas, jako dobrych znajomych, przepuszcza bez słowa.

Teraz wróćmy jeszcze do początku Zakładu. Miasto Lwów w drugiej połowie XIX wieku, z powodu przepełnienia oddziału psychiatrycznego w Szpitalu Powszechnym, zdecydowało się na budowę specjalnego zakładu i to już poza śródmieściem. Po zakupieniu w 1862 r. – z dochodów Loterii Państwowej – gruntów na Kulparkowie rozpoczęło budowę największego potem zakładu w Polsce, wzorując się na podobnym układzie zabudowań zakładu w Getyndze w Niemczech.

Tu jeszcze krótko o samej nazwie Kulparków. Powstała z kolejnych powtarzanych przeróbek nazwiska właściciela tych terenów Piotra Goldberga na Goldberghof, i następnie z Goldparków na Kulparków.

Na początku zbudowano gmach główny, dwupiętrowy, bardzo obszerny, z dużymi dwoma bocznymi skrzydłami i piętrową kaplicą. Potem powstało 6 luźno stojących piętrowych pawilonów z własnymi ogrodami i wspólnie otaczającym je wysokim, betonowym zewnętrznym murem. Naprzeciw głównego wejścia do Dużego Gmachu stanął piętrowy budynek Zarządu.

Na całym dużym terenie (powierzchnia Zakładu obejmowała w sumie 59 hektarów i 15 arów) znajdowały się różne budynki, było ich w pierwszych latach XX wieku 44. Częściowo zamieszkiwali je pracownicy Zakładu wraz z rodzinami: lekarze, pielęgniarki, urzędnicy, personel techniczny i folwarczny. W sumie około 400 osób (to na podstawie notatnika Ojca).

Liczba pacjentów stopniowo wzrastała, od 500 do 1000 i z biegiem lat do ok. 2000 w całym dwudziestolecu. Z różnych okolic Polski zwożono chorych, bo Zakład miał bardzo dobrą kadrę specjalistów, lecz coraz gorsze warunki szpitalne. Korzystając z własnej bocznic kolejowej, dyrekcja przerzucała więc chorych do innych ośrodków.

Pamiętam te sądne dni wywozów przy specjalnym pomoście, na dużym ogrodzonym placu, ale blisko naszego domu. Wszystkich Oddziałów było 20 dla różnych stadiów choroby – te najcięższe czy szalowe były ściśle zamknięte, ale znaleźmy dobrze innych spokojnych chorych, chodzących

swobodnie po terenie czy nawet pracujących w różnych zawodach lub też jako pomoce domowe. Działyły różne warsztaty, służba porządkowa oraz cały duży folwark z polami uprawnymi, ogrodami, sadami, a także stajnie i wozownie, obory i chlewiki.

Zakład w pewnych rodzajach zaspokajania ludzkich potrzeb był samowystarczalny. Mieliśmy bowiem i ochronkę dla dzieci, tak zwane kasyno z kręgielnią dla dorosłych, piekarnię, rzeźnię i masarnię (słynne wspinałże kulparkowskie wędliny), cieplarnię, piłę cyrkularną, której dźwięk był słyszalny daleko, gdy pracowała, wąskotorową kolejkę różnie wykorzystywaną, kuchnię z chłodnią, pralnię i kuźnię, centralę telefoniczną, pro-sektorium i własny cmentarz. Ten ostatni, zupełnie nieogrodzony, na małym wzgórku za wsią Kulparków, był dość duży, bo i dla zmarłych chorych z Zakładu, pracowników i ich rodzin. Tu leżała i moja Babcia Józefa Janicka, która zmarła na 3 tygodnie przed moim urodzeniem. W roku 1960 cmentarz został zupełnie zniwelowany pod nowe osiedle mieszkaniowe i nawet ktoś postawił słup z napisem informującym o tej samowoli czy nakazie.

Na początku lat 30. przeprowadzono z Maliczkowic 7 km rurociągiem własny z wodą pitną, którą oceniano nawet jako lepszą od tej dobrostańskiej, służącej od dawna całemu miastu i Zakładowi. Sama charakterystyczna wieża wodna z dwoma dużymi zbiornikami o wysokości 30 m powstała już wcześniej i można było czasem, po specjalnym pozwoleniu, wspinać się na jej szczyt bardzo krętymi i wąskimi schodkami umieszczonymi w pionie wieży, by przy dobrej widoczności uwierzyć, że widać stąd Karpaty.

Na terenie Zakładu było bardzo dużo zieleni – uliczki wysadzone kasztanami, przy każdym domu własne ogródki, dobrze utrzymane, różne małe zieleńce i dwa duże parki. Angielski – tak ambitnie go nazywano, z jednej strony zamknięty był niedużym laskiem, z różnymi gatunkami drzew – także i krzakami leszczyny, z których chętnie zbieraliśmy orzechy. Już w latach dwudziestych, dzięki aktywności miejscowej młodzieży, powstał przyzwoity kort tenisowy, wysoko ogrodzony, na który zapraszano i gości z miasta. Obok przypadkowi miłośnicy siatkówki i ich kibice

dość głośno rozgrywali mecze. Ale największym powodzeniem cieszyło się boisko do piłki nożnej, jak również bieżnia, czy stumetrowa – nie ręczę, plus stanowiska dla skoków i rzutów. Tu już bywały prawdziwe zawody organizowane przez zakładową Drużynę Strzelca, który wśród pracowników Zakładu miał wielu członków i sympatyków. Latem też bywały tam jakieś kiermasze czy loterie fantowe. A mamy z małymi dziećmi korzystały z piaskownicy tuż obok. Zimą na innym zielonym terenie udawało się utrzymać niedużą ślizgawkę. A w lecie: pamiętam, jak cieszyłam się tam grając w mało jeszcze popularnego krykieta.

Tak zwany Stary Park, rzeczywiście ze starym drzewostanem, służył raczej do spacerów i odpoczynku i jako przejście w stronę folwarku, tylko zimą małe dzieci niestrudzenie zjeżdżały na sankach z jednego tam niewielkiego pagórka.

Zakład zatrudniał też i ogrodnika, który dbał o wszelkie kwiaty na klombach. Upowszechnił kiedyś różne gatunki dali, z których słynął Zakład. Pamiętam nawet, jak jeden z kwietników pachniał wanilią. Pachniały też bzy, czeremchy, jaśminy i lipy. A na dużym, okrągłym klombie, obsadzonym kannami, można się było bawić w chowanego.

Ale wróćmy znów do oficjalnych początków. Istnieje historyczna data umieszczenia pierwszych chorych, na drugim piętrze głównego gmachu, na mocy uchwały Sejmu Krajowego – 25 maja 1875 roku. A trzy lata później opracowano już osobny statut i określono etaty posad i płace. Na czele stał dyrektor-lekarz, potem dwaj prymariusze, dwóch sekundariuszy, dwóch księży, rządca, dwóch oficjalistów, pisarz, nadzorca służby, maszynista, nauczyciel stolarstwa, krawiectwa, szewstwa, ślusarstwa, ogrodnik, dozorca pro-sektorium, 41 posługaczy, 10 parobków, 18 służby kuchennej i magazynowej, furmanów dwóch i jeden stróż nocny. To są autentyczne dane, tylko nie wiem skąd przeze mnie kiedyś bardzo dawno przepisane.

I jeszcze jakie wynotowałam z tych źródeł ciekawostki: w latach osiemdziesiątych XIX wieku na Sejmie Galicyjskim zdecydowano o odsprzedaży lwowskiej gminie wyznania mojżeszowego części gruntów zakładowych – w celu urządzenia tam cmentarza

izraelskiego. Ów cmentarz rzeczywiście istniał przez całe dwudziestolecie i dla potrzeb Zakładu i chyba okolicznych dzielnic – nazywaliśmy go „Okopisko”. W czasie wojny zniknął. I ktoś o nim dziś pamięta?

Działy się też w Zakładzie jakieś naganne sprawy w związku ze złym traktowaniem chorych, co spowodowało aż nagłący wniosek hr. Artura Potockiego o naprawie stosunków w Zakładzie i konieczności zawarcia umowy z jakimś zakonem dla oddania mu nadzoru nad chorymi. Czyżby 17 Sióstr Miłosierdzia, przewidzianych w statucie, zajmowało się tylko sprawami gospodarczymi Zakładu? Rzeczywiście pamiętam, że były kierowniczkami obu dużych magazynów i prowadziły wielką kuchnię, nie mówiąc już o opiece nad kaplicą. Na oddziałach pracowali pielęgniarze i pielęgniarki. Któż to dzisiaj wyjaśni?!

W 1906 roku, gdy przyjęto Ojca na etat maszynisty, dyrektorem Zakładu był dr Władysław Kohlberger, dobry organizator, dbający o dalszy rozwój wszystkich form działalności Zakładu. Zbiegiem okoliczności zaraz na początku swojej pracy Ojciec gasił fachowo i z powodzeniem pożar, który wybuchł w sąsiedztwie Zakładu – z pomocą zakładowej straży pożarnej, którą z urzędu kierował. Zachował się nawet wycinek z jakiejś gazety lwowskiej z pochwałami dla Ojca za sprawną akcję. Reakcją na to wydarzenie stało się pięknie wykaligrafowane przez kancelarię dyrektora urzędowe mianowanie Ojca na naczelnika stworzonej teraz obowiązkowo straży pożarnej tutejszego Zakładu.

Samo życie rozszerzało w różnych kierunkach coraz większy zakres obowiązków młodego kiedyś marynarza. Swą energią i zaangażowaniem, no i pogłębianą w codziennej praktyce, czasem na jakiś kursach fachowych, swoją różnorodną techniczną wiedzą musiał obejmować sprawy związane z oświetleniem, ogrzewaniem, wodociągowe, remonty i zaopatrzenie dla całego Zakładu. Zabawne były jego kłopoty z tytułaturą, bo od wczesnych lat pracy zwracano się do niego Panie Kierowniku, dla obcych bywał nawet dyrektorem, ale na służbowej legitymacji (mam ją) nazywał się „urzędnikiem technicznym”.

Otwierał przetargi dla dostawców różnych materiałów, szukał fachowców do swe-



go technicznego personelu. Bez przesady można określić jego zakres obowiązków jako trzeciej po dyrektorze i zarządcy osoby, odpowiedzialnej za funkcjonowanie tej dużej instytucji. Po wybuchu Wielkiej Wojny w 1914 r. został przez dyrektora Kohlbergera wyreklamowany już po powołaniu do wojska – jako niezbędny pracownik – ponoć w ostatniej chwili, wycofując go z transportu, na peronie Głównego Dworca.

Działania wojenne jakoś oszczędziły ten teren – gorzej było pod ostrzałem armatnim miasta w 1918 roku. Ale ten miesiąc Obrony Lwowa stał się również bardzo ważny w historii Zakładu i w życiu jego mieszkańców z innych powodów. Jeszcze przed Wielką Wojną pracowali w Zakładzie dwaj lekarze: Józef Bednarz i Roman Zagórski. Pierwszy był drugim mężem Aleksandry – matki Jurka, jej syna z pierwszego małżeństwa z panem Bitschanem. Małżeństwo to trwało krótko i już w 1912 r. pani Aleksandra stała się żoną dr. Zagórskiego, który serdecznie opiekował się Jurkiem i ponoć był odbiorcą ostatniego jego listu przed ucieczką do jednego z oddziałów walczących w Obronie Lwowa – 21 XI Jurek zginął i stał się 14-letnim bohaterem opiewanym w poezji i pieśniach. Pani Aleksandra, jako matka i żona, nie cieszyła się sympatią społeczności Zakładu – urodzona w 1883 r. w Lublinie, od młodych lat sympatyzowała z ruchem PPS. Ponoć sam Piłsudski bywał z wizytami u przyszłej członkini Związku Legionistek.

Następcą dyrektora Kohlbergera został właśnie dr Zagórski, elegancki i uprzejmy, bardzo szanowany lekarz z powołania, od-

dany chorym. Niestety po dwóch latach w 1927 r. zmarł, mając lat 52 – jego grób z pięknego czarnego granitu zniknął razem z cmentarzem. Ale kruchy papier jego nekrologu przetrwał w Ojca papierach do dziś.

Po śmierci męża pani Aleksandra – chyba mi się zdaje, że pamiętam jej prosta, ale sztywną sylwetkę z ponurą twarzą i w peowiackiej bluzie – przeniosła się do Warszawy – działała w różnych organizacjach kobiecych. Zmarła w 1965 r., a grób jej, trochę zaniedbany, odszukałam na Bródnie w 1990 r. – dzięki ustaleniom niestrudzonej dokumentalistki Lwowa – warszawianki, pani Danuty Łomaczewskiej.

Następnym dyrektorem Zakładu na kolejne 2 lata został dawny lekarz, wspomniany już dr Józef Bednarz – podobno wprowadzał nowe metody leczenia – elektrowstrząsy. Zapamiętałam go w jakiejś okrągłej czapce, mówiącego trochę z rosyjskim akcentem – urodził się na Kaukazie w 1879 r. Zmarł bohaterską śmiercią, nie opuszczając swoich chorych ze Świecia, gdzie był do wojny dyrektorem – idąc razem z nimi na rozstrzelanie przez Niemców we wrześniu 1939 roku (wg dr. Zdzisława Jaroszewskiego).

■ teraz wkraczam już w czasy mi bliskie i lepiej zapamiętane. Przez 10 lat (1929–39) dyrektorem był poważny i nienarzucający się niczym dr Władysław Sochacki. Zginął też w 1939 roku zamordowany w jakimś sowieckim więzieniu i jest wykazany na tzw. *liście ukraińskiej*.

W latach trzydziestych mieliśmy 3 prymariuszy w starszym wieku. Dr Woszczyński szczepił mnie jako małe dziecko przeciwko ospie, tak że ciężko chorowałam, leżałam i przestałam umieć chodzić – dwie duże blizny na lewym przedramieniu mam do dzisiaj – a moja Mama nigdy mu tego nie zapomniała! Od drugiego prymariusza zaś, dr Mańkowskiego, pożyczła do przeczytania kolejne tomy Biblioteki Laureatów Nobla w wydaniu Jakuba Mortkowicza, bo już w podeszłym wieku, pilnie ją gromadził dla swoich 3 bardzo małych dzieci w małżeństwie z byłą pielęgniarką, o zupełnym braku urody. Najstarszy ich syn Mietek, bardzo obiecujący, zginął we Lwowie we wrześniu 1939 r.

Wiekowa już dr Bronisława (?) Neufeldówna leczyła naszą Mamę, chwalać ją za

trafne określenia niewielkich nawet objawów każdej swojej choroby. Zmarła natychmiast po zażyciu trucizny, gdy Niemcy po nią przyszli, by ją aresztować.

Średnia kadra lekarska stanowiła zgrany zespół. Dr Bronisław Kostkiewicz, powojenny szef Polskiego Czerwonego Krzyża, przystojny brunet z wąsikami i czerwonymi rumieńcami, naraził się Mamie, uchylając się od pomocy w jej powojennych staraniach o jakąś rentę po Ojcu. Młody, dowcipny, z grzywą jasnych włosów, dr Stefan Cwynar z dr Mieniewskim zamienili się ponoć żonami – od córki dr. Hipolita Latyńskiego, starszej ode mnie (Nusi mieszkającej we Wrocławiu), dostałam kiedyś kilka fotografii grupowych ówczesnych lekarzy. Zdjęcia te „wykorzystał” ode mnie autor książki, dr Tadeusz Nasierowski, pod tytułem *Zagłada osób z zaburzeniami psychicznymi w okupowanej Polsce* (Warszawa 2008).

I jeszcze o dr. Jakubie Erlichu, wesołym i zaprzyjaźnionym z nami, wspomnę też dlatego, że gdy lecząc Ojca po jakimś małym zawale, mdał prawie sam przy robieniu zastrzyków z obawy o reakcję chorego pacjenta. A myśmy się trochę z Mamą z tego śmiały. Zginął prawdopodobnie uciekając w popłochu przed Niemcami. Takie krażyły wieści.

Po wojnie dotarłam do dr Diaczek w Krakowie, gdzie jeszcze pracowała w szpitalu – a w Londynie spotkałam się specjalnie z żoną dr. Oberca i z jej siostrą, kierowniczką naszej dzielnicowej agencji pocztowej – Lwów 22, by wysłuchać ich powtarzanych słów żalu, gdy nas wywożono, i radości, gdyśmy powrócili z Kazachstanu, choć już w tak niepełnym rodzinnym składzie. Te prawie wszystkie wymienione osoby i członkowie ich rodzin, a także wiele innych, brały czasem udział we wspólnych karnawałowych zabawach, z kotylionami własnej roboty, i w przedstawieniach amatorskich kilku niewielkich sztuk teatralnych – wtedy odkrywały się małe aktorskie talenty lub inne, ważne, organizatorskie.

Świętowaliśmy też wspólnie różne rocznice czy uroczystości państwowe. Kiedyś i mnie tam noszono jako rekwizyt teatralny, a raz deklamowałam nawet sama wiersz Józefa Relidzyńskiego *Listopad* – a kiedyś także byłam akompaniatorką dla młodego skrzypka, brata Ireny J. To wszystko działało

się na sali widowiskowej XII Oddziału, tzw. „kobiecej inteligencji”, gdzie Ojciec zbudował ze swoimi specjalistami małą scenę z kulisami. Za co też dostał podziękowanie Dyrekcji.

Teraz coś o „życiu duchowym” mieszkańców wspólnoty. Od początku już w stacjonarnym Zakładzie przygotowano dwa etaty dla księży. W moich czasach naszym kapłanem był ksiądz Michał Rękas (1926–1933). Zasłynął na całą Polskę po zorganizowaniu i prowadzeniu specjalnych audycji dla chorych pod hasłem *Apostolstwa Chorych* i ta akcja, w formie też własnego miesięcznika, przetrwała jeszcze kilka lat po wojnie, po śmierci ks. Michała przy katedrze w Katowicach. Byłam tam kiedyś w pokoju dawnej, bardzo bogatej różnorodnej biblioteki księdza Rękasa, którą likwidowano z konieczności (ale czy z sensem?). Do mnie dotarł po latach tomik lwowskich wspomnień Józefa Wittlina, dedykowany księdzu Michałowi, a uratowany przez moją bratową Marysię, mieszkającą w Katowicach, współpracującą w tej smutnej likwidacji pamiątek po słynnym lwowiaku.

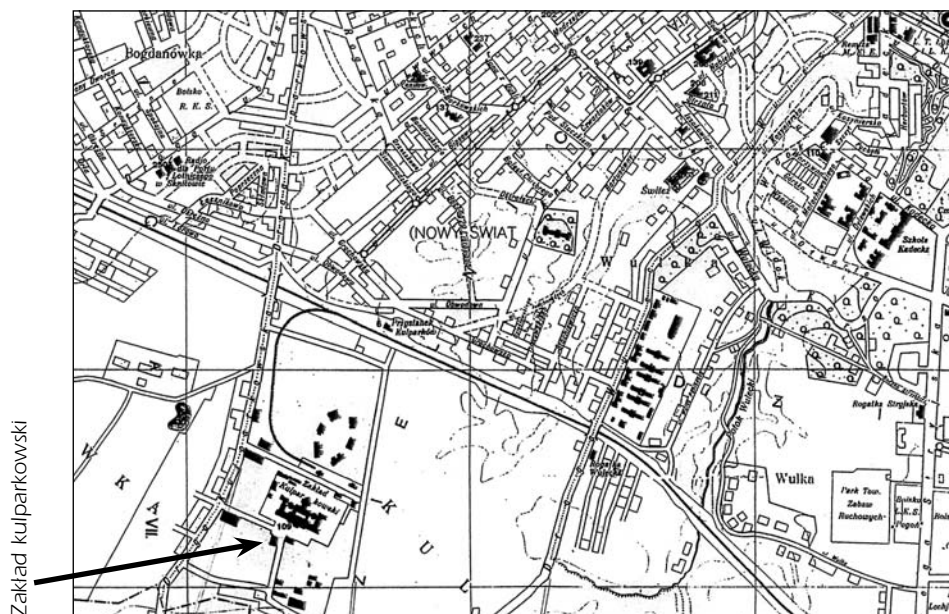
Dawni mieszkańcy Lwowa może pamiętają jeszcze z lat 30. słynną rywalizację między akcją i audycjami ks. Rękasa a popularną też w pewnych kręgach „lewicowo-

-postępowych” działalnością charytatywną pani Haliny Górskiej i jej młodzieży – w organizacji, którą nazwała „Błękitni”.

Oni to, po gorących jej apelach, w których nawoływała do pomocy materialnej głębokim, przejmującym głosem, wypowiadany też przez radio lwowskie, roznosili całymi dniami rozliczne paczki z żywnością dla bezrobotnych i ubogich, pod ustalone adresy.

Pamiętam, że niektórym się to nie podobało – nawet moim rodzicom, bo Jadwiga, moja dużo starsza siostra, też przepadała na kilka godzin w każdym tygodniu. Córka pani Haliny była moją młodszą koleżanką w gimnazjum im. Królowej Jadwigi – a sama pani Halina została aresztowana we Lwowie przez Niemców i 4 VI 1942 r. rozstrzelana, jako może aktywny członek Związku Sowieckich Pisarzy Ukrainy, narodowości żydowskiej. W 1930 r. wydała wspaniałą napisaną i ilustrowaną książkę *O księciu Godfrydzie, rycerzu gwiazdy wigilijnej* i tą i innymi pozycjami (*Druga brama, Nad czarną wodą*) zostawiła swój ślad i w polskiej literaturze.

A wracając jeszcze do księdza Rękasa – był przyjacielem wszystkich dorosłych, młodzieży i dzieci, wykształcił wielu ministrantów, z których nieliczni po wojnie robili partyjne kariery. Jednym z nich był Tade-



usz, z sześciorgiem rodzeństwa i bardzo zapracowaną matką, która robiła wspaniałe ciasto na strudel. Ta umiejętność chyba zanikła, choć kiedyś, w młodości, nawet my razem z Jerzym mieliśmy w tym naciąganiu pewne sukcesy.

Tadeusz był znanym piłkarzem, chyba „Czarnych” we Lwowie. Wojna zatrzymała go na terenie Rosji, trafił do szkoły lotniczej w Zawiałówce, na Ukrainie, gdzieśmy się nieoczekiwanie spotkali w 1944 r., i zaczął nam tam też pomagać. Po skończeniu jakiejś rosyjskiej wojskowej akademii szybko awansował, aż do stopnia generała brygady, był szefem jakiejś misji w Korei, coś miał też wspólnego z wywiadem – niestety ciężko chorował. Pogrzeb jego na Wojskowych Powązkach w Warszawie był dużym zgromadzeniem wciąż wdzięcznych i serdecznie Go żałujących lwowiaków, bo zapisał się w naszej pamięci jako bardzo przyzwoity człowiek i dlatego teraz i ja tak ciepło Go wspominam, jako krajana z Kulparkowa.

Na Boże Ciało sypałam w procesji kwiatki z koszyczka, ale do Dzieci Marii nie należałam, choć jestem jako kilkuletnie dziecko utrwalona na zbiorowej fotografii, zrobionej przez księdza Rękasa, twórcę tego stowarzyszenia w Zakładzie. I otóż stoi tam również wśród innych panienek, ze słodką buzią, Irenka, córka naszego zakładowego greckokatolickiego kapelana. A ksiądz Jarosiewicz, grzeczny i cichy duchowny, mało się chyba udzielał innym, poza swoimi obowiązkami.

Irena [Renata Bogdańska – Irena Andersowa, *przyp. red.*] wyrastała wśród nas, łatwo się uśmiechała i wypełniała swoje szkolne obowiązki. Utalentowana muzycznie, zaczęła szkolić swój głos. I to zadecydowało o jej dalszej karierze. Późniejsze jej sukcesy i zawrotna osobista rola osoby powszechnie znanej, wręcz historycznej, dla tego rozdziału wojennych i późniejszych dziejów Polski, mogła nieco szokować i nie u wszystkich budziła entuzjazm.

Kiedyś w Londynie po wojnie, odwiedzili ją Jadwiga i Zbyszek i zostali serdecznie przyjęci. Ja, młodsza, nigdy się z nią nie przyjaźniłam, ale również po nawiązaniu kontaktu w Londynie w 1986 r. dorosłam do roli właściwego słuchacza jej zawsze żywych i ciepłych wspomnień z czasów kul-

parkowskiej, wspólnej młodości. Spotykaliśmy się potem kilkakrotnie w Warszawie i wtedy znów opowiadała o swojej wizycie w Zakładzie, w ich tam dawnym mieszkaniu i o swoich wzruszeniach, gdy odszukała grób swoich rodziców na Janowskim Cmentarzu, i o kwiatkach, które tam często leżały. Tym, przyznam się, że mnie ujmowała i stąd ta otrzymana fotografia z dedykacją i książka Ewy Berberysz, mocno przez nią krytykowana. Obiecywała mi kiedyś, że spisze swoje wspomnienia, ale nie zdążyła. Wobec tego ja włączyłam ją do galerii moich kulparkowskich *Osobliwości*, a już przyszła historia ją oceni. Choć przyznam na zakończenie, że to wspólne z mężem Monte Cassino wielce mnie zaskoczyło.

Wiele by jeszcze można pisać i mówić o lwowskim Zakładzie dla umysłowo chorych.

Mam tu bardzo zniszczoną książkę Szymona Spunda *Miasto oblężonych – fotomontaż z Kulparkowa* (Lwów 1939), szukającego sensacji – bo w swoich relacjach opisuje szczegółowo różne wstrząsające sceny i widoki z poszczególnych pawilonów, które odwiedzał z dyrektorem S. (więc Sochackim) i doktorami K. (Kostkiewiczem) i E. (Erlichem). Mimo całej jaskrawości tych obrazów może to być dosadne uzupełnienie moich ogólnych i rzeczowych informacji.

Ale najgorsze stało się później. Doszło prawie do zupełnego wyniszczenia Zakładu i chorych, głodem i represjami, które objęły i personel medyczny, w czasie obu okupacji. Istnieją już różne opracowania na ten temat.

A my, wywiezieni ze Lwowa w 1940 roku do Kazachstanu, wysłuchiwalismy od tamtejszych władz słowa gniewnych wymówek, że to im właśnie zawdzięczamy uratowanie od „najgorszego.”

No cóż, na każdą rzecz można spojrzeć z różnej strony. Ja już nigdy nie wróciłam do Zakładu i Lwowa, a jeszcze żyję i teraz cieszę się, że mogłam Wam o tym opowiedzieć.

Pisane w Warszawie, w sierpniu 2011 r.

Notka biograficzna Autorki zawarta jest w CL 2/08.

Jacek Jedliński

WIOSNA LWOWSKA NA POCZĄTKU XX w. (wspomnienia byłego ucznia IV Gimnazjum z lat 1896–1904)

Właściwie pierwszymi zwiastunami wiosny były za moich gimnazjalnych lat urządzone zwykle w marcu poranki względnie wieczorynki ku czci polskich Trzech Wieszczów, a szczególnie Adama Mickiewicza.

Nerwowe to były dla nas chwile. Jakiś nieokreślony niepokój i ciąg za czymś nieznanym napełniał młode serca nasze. Śnieg powoli nikał na ulicach i placach, a w parkach i skwerach miejskich wyłaniały się zrazu ciemne, a później zielonawe, wolne od zimowego pokrowca wysepki. Na gałęziach kasztanów poczęły pokazywać się maluchne zrazu pączki, które pod wpływem coraz cieplejszych, jasnych promieni słonecznych liśniły i rosły prawie w oczach. Wierzbowe wici poczęły zielenić się, jak również w zielone sukienki poczęły przebierać się długie, cieniuchne, kędzierzawe gałązki smukłych brzoź, których kora stawała się coraz bielsza.

Gdzieś tam na stokach Wysokiego Zamku, w dobrach i parowach Wulki czy Pohulanki, przebijają się wraz z kosmkami świeżej trawy białe śnieżynki, a niktę dopływy Pasięki i Pełtwi, obficie powiększane topniejącymi masami szerniałego śniegu, udawały groźne i gniewne rzeczułki, gotowe wystąpić ze swych brzegów i zalać podmiejskie ogrody i sady.

Ale czasem niespodziane, łaskawe, jasne niebo pokrywało się nagle ciemnymi zwalami chmur i na Lwów zwały się masy zimnego dżdżu i zawiei śnieżnych.

A wtedy my, patrząc na niktę białe listeczki pierwiosnków, fioletowych „fioletczków” leśnych i żółte, silniejsze już płatki jaskru ostrego, powtarzaliśmy smętnie za poetą: za wcześniej kwiatku, za wcześniej, jeszcze północ mrozem dmucha... Ale takich niespodzianek było coraz mniej i kapryśne przedwiośnie lwowskie poczęło zmieniać się w rozkoszną *ver leopoliense*.

A tymczasem szła gorąca robota komitetowych i domorosłych szkolnych artystów nad zmontowaniem programów naszych uroczystości. Wykuwano „na blaszkę” wy-

jątki z *Dziadów*, *Kordiana*, *Irydiona*, *Odę do młodości*, mickiewiczowskie ballady i sonety, *Hymn o zachodzie Słońca*, *Smutno mi Boże*, *Kaukaz*. – Chopin i Moniuszko patrzyli pobłażliwie ze swych postumentów na młodych wykonawców ich muzycznych utworów, na solistów tudzież deklamatorów, którzy w domowych salonach i szkolnych klasach doprowadzali często do rozpaczki swych ojców w czasie ich poobiedniej drzemki, młodsze rodzeństwo zajęte wkuwaniem lekcji lub starych, ozdobionych feldfeblowskimi wąsami tudzież krzyżami za wysługę lat tercjanów, czuwających na korytarzach szkolnych i szczerze życzących dryblasom, by wreszcie zabrali się do stu diabłów.

Ale dawali się oni przecież przekonać garściami papierosów „sportów” czy „damskich”, które zarazem dawały gwarancję „wiecznego milczenia” i wczesnego alarmu w razie zbliżania się złośliwych belfrów, tych prawdziwych mistrzów w wyiniuchiowaniu zapachów tytoniowych i podsłuchaniu nadprogramowych piosenek całego zespołu w rodzaju *Panna umierała*, *Student z siódmej klasy*, itp.

Jednocześnie komitet interweniował w składzie rekwizytów teatralnych przy ul. Słonecznej o wypożyczenie kostiumów do obrazów scenicznych, zamawiał u Klimowicza zieleń i kwiaty do ubrania sceny czy estrady, a mamy, siostry i różne kuzynki sporządzały wspaniałe odznaki dla komitetowych w barwach narodowych.

Ostatecznie te szkolne parady odbywały się w największym porządku ku zadowoleniu dyrektorów i tych członków grona nauczycielskiego, którzy byli doradcami i pomocnikami „ex officio” komitetowych i wy-



konawców programu, zwłaszcza jeżeli impreza spotkała się z uznaniem obecnego zwyczajnie delegata ck Rady Szkolnej Krajowej, tudzież wywoływały zachwyt i dumę mamuś, sióstr, a również kuzynek obecnych na wieczornych powtórkach programu dla szerszej publiczności.

Ach – te kuzynki od Strzałkowskiej czy z ck Seminarium Nauczycielskiego żeńskiego (które mieściło się wówczas przy ul. Skarbkowskiej), czy ukraińskiego pensjonatu Towarzystwa Pedagogicznego przy ul. Sawy. Żeby one wiedziały, jakie hekatombi „cwajarów” musieliśmy składać na ich ołtarzach.

Urządzaliśmy owe imprezy zwyczajnie w auli lub gdzie dało się, zwyczajnie w sali Towarzystwa „Gwiazda” przy ul. Franciszkańskiej, a czasem nawet na strzelnicy przy ul. Kurkowej.

Tymczasem zaczęły się zbliżać wielkopostne rekolekcje. Były one dla nas wszystkich czystym profitem. Bo proszę sobie tylko wyobrazić: zicherowe trzy dni egzort, potem przygotowanie do spowiedzi, sama spowiedź i Komunia. Murowanych pięć dni!

Rekolekcje prowadzili w auli zrazu ks. dr Wiśniewski, później dr Gołąb, a wreszcie ks. prałat Gnatowski, który „w cywilu” przybrał pseudonim Jana Łady, pod którym teatr miejski grał nawet jego sztukę *Jak liście z drzewa strącone* i z tego powodu osoba jego stała się dla nas ważna i imponowała nam więcej niż jego pierścień prałacki i elegancja. Dla Rusinów odbywał rekolekcje ks. dr Krypiaskiewicz (ojciec prof. dr. Jana) w jednej z większych klas, a raz czy dwa razy nawet nowy grekokat. metropolita lwowski Andrzej Szeptycki. Po każdej nauce sześliśmy na krótka modlitwę i suplikacje do kościoła Marii Magdaleny, a „Rusini” do cerkwi grekokatolickiej Seminarium Duchownego przy ul. Kopernika, która to cerkiew została zniszczona przez bombę hitlerowską, zdaje się przeznaczoną dla cytadeli albo głównego budynku powiatowego przy ul. Słowackiego.

Jakże miła to była dla nas droga, prowadząca zrazu przez ul. Baworowskich koło ogrodu biblioteki tej samej nazwy, w którym najwcześniej zaczęły pokazywać się fiołki, dalej obok wielkiego, zabudowanego później ogrodu firmy naftowej Miączyńskich, a obok ogrodu pałacu Sapieżyńskiego przy

ul. Kopernika, gdzie również oczy nasze zachwycąły się wczesnymi fiołkami i śnieżyczkami, mając po przeciwnej stronie pokryty świeżuchną zieloną runią północny stok Cytadeli.

Po nabożeństwach mikruseria szła grać w „kiczki” na Badeniera – jak nazywaliśmy górna część ogrodu Badenich, okoloną ulicami: Lipową (później Ujejskiego), Badenich i Ziemiałkowskiego – pod samym nosem naszego kochanego dyrektora Kozioła.

Te kiczki (ich „dołek” względnie meta) znajdowały się pod samą moją ostatnią sypialnią lwowską do października 1947 roku w narożnej trzypiętrowej kamienicy przy ul. Badenich 12 – były prawdziwym utrapieniem dla naszych katechetów, bo one musiały obowiązkowo odbywać się nawet po spowiedzi, co oczywiście pociągało za sobą liczne „poprawki” do tego sakramentu i konieczność zapraszania do nich innych księży do pomocy (przed „katabasami” ani spowiedź, ani jej poprawki nie były możliwe).

Do łatania uświęconego zwyczajnie należało darcie karteczek z dokładnie spisanyymi na nich grzechami na małe skrawki i zasypywanie nimi chodników przed kościołem św. Magdaleny. Leciuchny ciepły wiaterek wiosenny unosił skrawki tych chłopiących grzechów – tak samo niewinnych, jak ich sprawcy i spisowacze.

My, starsi, jak tylko pogoda dopisywała, wybieraliśmy się na pierwsze wiosenne oględziny parków i najbliższych okolic lwowskich.

Wspaniałe były te nasze wycieczki!

Zdawało nam się, że uśmiechnięta w przecudownej krasie swojej młoda facetka – każdy z nas oczywiście miał przed oczyma swój „ideał”, czy jak się to nazywało „flamę” – szła przed nami i odwracając się do nas co chwilę zapraszała nas, byśmy szli w ślad za nią – „chodźcie, zobaczcie i kochajcie”. I myśmy szli za nią pokornie i w zachwyceniu. I odkrywała się przed nami w całej swej wspaniałości wiosna radosna, czy w głównej alei Wysokiego Zamku i na dróżce prowadzącej na polanę i kopiec, skąd młodymi i silnymi rękami chcieliśmy ująć w nasze gorące objęcia nasz ukochany Lwów – czy na dalej położonym „Kaiserwaldzie”, czy na przemiłej „Pohulance”, czy w tym jednym z najpiękniejszych parków Europy – Stryckim, gdzie musieliśmy się choćby na chwili-

lę zatrzymać i w „alei zakochanych” stanąć nad sadzawką i przypatrzeć się wspaniałej wierzbie płaczącej, zwisającej nad czystym jeszcze zwierciadłem wody, i zobaczyć, czy już rozwijają się wspaniałe, przedziwne kwiaty magnolii, i policzyć ilość odmian tudzież kolorów, wytryskujących z długiego wazonu przed pawilonem restauracyjnym – krokusów, i pójść dalej dolną aleją, rzucić okiem na zwaliska zamku, które utrzymały się jeszcze od 1894 r., i wejść z prawej strony alei serpentyną w górę koło figury Matki Boskiej i wymarzoną do randek polanką, na szeroką bukową aleję ściętą pod sznur wprawna ręką ogrodnika, by wreszcie stanąć na pełczyńskich wzgórzach przed Kadecką Szkołą i jeszcze jeden raz ogarnąć zakochanymi oczyma uczniaka – zachodnią i południową połacie miasta, przedmiotu jego najgorętszych uczuć i marzeń.

Albo wreszcie taka wiosenna wycieczka na „hycłowską górę”, zachodnią granicę parku Domu Inwalidów, a później w dół na kleparowskie zbocze, aż do przejazdu pod torem kolejowym na ulicy Kleparowskiej. Co za wspaniałe widoki rozciągały się stamtąd na miasto, na Wysoki Zamek, na Zniesienie, Zamarstynów i na Hołosko Wielkie.

Czy dla lwowiaka jest gdzie indziej więcej takiego piękna jak w jego ukochanym mieście?

Wreszcie wiosna lwowska ubrała się we wszystkie swe wspaniałe szaty i ozdoby, by godnie przywitać Święta Wielkiej Nocy. W parkach, ogrodach i prywatnych ogródkach, tudzież oknach mieszkań, pedantycznie wymytych i błyszczących w jasnych promieniach słonecznych, pokazały się masy hiacyntów, lewkonii, narcyzów i tulipanów w owiniętych różnobarwnymi bibułkami doniczkach.

Poczęły się prawdziwe misteria wypiekania wielkanocnych bab i ciastek, tortów, przekładających i przeróżnych mniej lub więcej kruchych ciast, pod umiejętnym i doświadczonym kierownictwem gospodarza i przy asyście ich dorodnych cór, tudzież podrzędnej pomocy „garkośluków” domowych.

Panowie gospodarze i „skaranie boskie” w mundurkach gimnazjalnych, łase na rodzynki, migdały, czekolady i mieszane w makturach smakowite masy, mieli srogo zabroniony dostęp i szastanie się po kuchniach, szczególnie wtedy, kiedy rosły, a później

piekły się baby. Pierwsi mieli tylko przywilej zakupów u Baczewskiego i Stadtmillera, a ich cne połowice patrzyły się wyjątkowo przymrużonymi oczyma na ich różowe humory spowodowane próbami różnych gatunków win.

Panny domowe miały także przyjemny, ale wcale nie lekki obowiązek artystycznego ozdabiania tortów lukrem, cukrowymi różami, kandyzowanymi owocami, pomadkowymi obramieniami – tak, aby torty te nie przedstawiały się o wiele gorzej od wystawionych na witrynach u Bieniackiego, Soczka i Zalewskiego. A zresztą, któż to wiedzieć może, czy z artyzmu ozdobienia tortu nie wznieci się płomyk podziwu, który później rozpał się w ogień dozgonnej miłości u ck askulanta sądowego Zbyszka czy suplenta gimnazjalnego Jurka do rączek i serduszek twórczyni tych wspaniałości.

Gotowaniem szynki i innych wędlin w wielkim blaszanym baniaku od bielizny kończyły się te prawie przez cały Wielki Tydzień trwające trudy płci pięknej i ich ukoronowaniem było ubranie stołu wielkanocnego, który miał też zakasować wszystkie sąsiednie, zaprzyjaźnione i znajome także stoły.

Od samego południa Wielkiego Czwartku masy publiczności wszelkich stanów odbywały pielgrzymki po wspaniałych, tonących w wiosennym kwiecie Bożych Grobach, by wreszcie powitać na rezurekcjach w katedralnych i parafialnych świątyniach Pańskich przedziwne i pełne czaru Zmartwychwstanie Pańskie. A Wielkanoc przypadała zwyczajnie w różnych odstępach czasu dla obu głównych obrządków katolickich. Czasem różnica między łacińskimi i greckimi świętami wynosiła 5 tygodni, czasem jeden tydzień, ale też często przypadały święta obu obrządków razem.

I wtedy rozdzwaniały się wielkanocne dzwony całego Lwowa zgodnymi radosnymi dźwiękami. Witwały Zmartwychwstałego Zbawiciela poważne dzwony łacińskiej katedry i rozlewały się daleko, hen daleko do Karpackich gór może. Rozchodziły się metaliczne, harmonijne pienia dzwonnicy wysoko nad miastem położonej Katedry św. Jura – tego wspaniałego znamię Lwowa, wskazującego z daleka ten stary, czcigodny gród stęsknionemu za nim lwowianinowi

dokończenie na s. 19

Epitafium dla Jadzi

Jarosław zawsze był na trasie, gdy jechaliśmy do Lwowa. Zatrzymywaliśmy się zwykle w tym rodzinnym mieście profesora Mieczysława Gębarowicza – na Osiedlu Słonecznym pod numerem 5 czekała na nas Jadzia. W jej mieszkaniu, w którym unosił się zapach słodkiej drożdżowej bułki upieczonej dla nas, wchodziliśmy w przestrzeń jakby tamtego minionego już czasu, rozbrzmiewającego gwarem lwowskiego domu, w radosne zamieszanie wywołane pojawieniem się oczekiwanych gości, a w przedpokoju wpadaliśmy w otwarte ramiona Jadzi i Jej najbliższych.



Poznałam Ją w marcu 1989 roku w scenerii dość nietypowej – bo w Sali Jarosławskiej Fabryki Wyrobów Piekarniczych „San”, gdzie odbyło się pierwsze zebranie powstającej organizacji kresowej w ówczesnym PRL-u. Przyjechałam z Wrocławia, w którym była jej główna siedziba, by być przy narodzinach Towarzystwa Miłośników Lwowa w Jarosławiu. Przywitała mnie wysoka, urodziwa pani – Jadwiga Sibiga, i domyśliłam się, że była jedną z owych spiritus movens tych rodzin. Tak zaczęły się moje z Jadzią ponad dwudziestoletnie serdeczne więzy, mierzone nie ilością, ale jakością spotkań, które miały też miejsce w cudownym leśnym domu córek Jadzi – pań Leny i Anny, w Radawie koło Jarosławia – gdzie Jadzia pisała swoje artykuły, wspomnienia i wiersze, publikowane w kresowych czasopismach:

*Śniła mi się ulica Stryjska,
Ulica bżów i kasztanów.
Park Stryjski prześliczny,
I stare domy znajome,
Trochę wyżej Szkoła Kadetów
I chłopcy na warcie przed bramą.
Obok mały cmentarz,
Na który chodziłam z mamą.*

Motyw tej ulicy przewija się często w Jej lirycznych wierszach, które przede wszystkim poświęciła miastu, w którym się urodzi-

ła. Była to lwowska dzielnica Bodnarówka*, częściowo należąca już do ul. Stryjskiej. *Kochałam dom, w którym przyszłam na świat, w pobliżu rosnące drzewa, łąki i skarpy pełne pachnących ziół i kwiatów, niezapomniany stary dąb, pod którym pisałam pierwsze dziecinne wierszyki – zwierzała się w książce Tu i tam, poświęconej wszystkim, którzy kochają Lwów, gdziekolwiek się znajdują.*

Wychowana w wielodzietnej patriotycznej rodzinie wyznawała ideały i wartości wyniesione z domu, a przekazywane później przez szkołę powszechną oraz średnią, której nie zdążyła ukończyć. Piętnastolatce przerwał edukację wybuch wojny w 1939 roku. Zdążyła natomiast być członkiem Związku Strzeleckiego, gdzie przeszła szkolenie PW, a we wrześniu '39, w czasie walk polsko-niemieckich o Lwów została skierowana do placówki Cywilnej Obrony Miasta przy ul. Nabelaka. We wstępie do wspomnianej książki *Tu i tam* zamieściła te słowa: *Na zawsze pozostałam wierna ideałom, które wyniosłam z domu, ze szkoły i kościoła, a miłość niezmienna do kraju ojczystego i miasta, w którym się urodziłam, towarzyszyć mi będzie aż po kres moich dni.*

Jeszcze w lipcu tego roku otrzymałam od Niej list zakończony zaproszeniem do Radawy. Niestety, nie spotkam już Jadzi w leśnym dworcu w Radawie ani w Jarosławiu, ale spotkam tam Jej najbliższych i ów świat wartości, który im przekazała, wspomnienia i wiersze ze strofą –

*Jesteś miłością i nadzieją,
niegasnącym płomieniem.
Jesteś, chociaż Cię nie ma
Miasto Semper Fidelis.*

* Raczej osiedle podmiejskie, położone za Perseńkówką. Na niektórych planach opisywana mylnie jako *Bednarówka*.



Pani Jadzia podpisuje swój tomik poetycki na spotkaniu u oo. Dominikanów w Krakowie (X 2004)

List z podziękowaniem

Poniższy list i załączone doń podziękowanie dotarły do nas z opóźnieniem, a kolejne opóźnienie powstało niestety w naszej redakcji, i to sprawiło, że dopiero teraz je przedstawiamy naszym Czytelnikom. Serdecznie prosimy o wybaczenie Pana Prezesa Józefa Tarniowego i Działaczy KTTK w Żarach, a nade wszystko Pana Doktora Tadeusza Kukiza!

Wielce Szanowny Panie Redaktorze Naczelnym!

Środowisko wygnańców kresowych, zamieszkujące Ziemię Żarską i polskie Łużyce, od kilku lat wzbogaca zbiory prowadzonych przez nas: Biblioteki Kresowej, Muzeum Kresowego, Galerii Kresowej, Domu Kultury Kresowej (jesteśmy właścicielami sporej nieruchomości w Żarach przy ul. Bohaterów Getta 22, którą stale upiększamy i rozbudowujemy). Muzeum Kresowe im. abpa I. Tokarczuka zgromadziło już kilkadziesiąt cennych eksponatów, w tym królewski dar JE ks. abpa Ignacego Tokarczuka i podolskiego misjonarza Józefa Chromika TJ (dziś z Krakowa).

Biblioteka Kresowa im. ks. prof. M.A. Krapca już posiada zbiór ok. 7 tysięcy cennych kresowych woluminów i dokumentów. A w okresie wielkanocnym zostaliśmy obdarowani po królewsku darem 540 wartościowych, dziś niedostępnych na rynku, publikacji kresowych. Szlachetnym Darczyńcą jest niestrudzony Kronikarz Kresów, autor cyklu książek „Madonny Kresowe”, całym życiem służący Kresom i Kresowianom, wielce szanowany przez nas dr Tadeusz Kukiz z Wrocławia.

Podziękowaniem w powszechnie cenionym Waszym Piśmie pragniemy okazać na-

szą wdzięczność, ale i zachęcić Kresowian i Przyjaciół do chronienia w Muzeach i Bibliotekach (nie tylko naszej) cennych pamiątek i wydawnictw.

*Prezes Zarządu, Józef Tarniowy
Żary, dnia 10 czerwca 2010*

NAJSERDECZNIEJSZE PODZIĘKOWANIE

Biblioteka Kresowa im. ks. prof. M.A. Krapca, prowadzona przez Kresowe Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze im. Orłąt Lwowskich w Żarach, została po królewsku obdarowana przez szlachetnego Pana dra Tadeusza Kukiza, niestrudzonego Kronikarza Kresów RP, autora cyklu książek „Madonny Kresowe” i setek artykułów prasowych – wielką kolekcją 540 wyjątkowych publikacji kresowych, w tym 96 numerów „Semper Fidelis”, 61 nrów „Cracovia–Leopolis”, 42 nrów „Wołania z Wołynia”, 16 nrów „Sybiraka”, 30 nrów „Zeszytów Tłumackich”, 203 nry „Spotkań z Zabytkami”, 21 nrów „Biuletynu Stołecznego TMLiKPW”, 12 nrów „Lwowa i Kresów” (londyńskie), 9 nrów „Strzechy Stryjskiej”, 29 zeszytów z serii „Kresy Wschodnie”, 6 nrów „Głosów Buczaczan”, a także egzemplarze „Wołyń bliżej”, „Biuletyn Ziemi Złoczowskiej”, „Gazety Kołomyjskiej”, „Ziemi Drohobyckiej”.

Bóg zapłać! I daj Boże zdrowie Doktorowi, Jego Bliskim i wszystkim Kresowianom!
Dzięki Dobroczyńcom!

Zapraszamy do korzystania z naszego Ośrodka Kultury Kresowej, 68-200 Żary, ul. Bohaterów Getta 22, tel. 68 449 13 77.

Kresowe Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze im. Orłąt Lwowskich
Prezes Zarządu, Józef Tarniowy

powracającemu po długiej tułaczce do rodzinnego miasta.

A wczesnym niedzielnym rankiem wstrząsał swym potężnym spizowym głosem posadami prastarych budynków śródmieścia stary Kuryło z wieży Korniaktowskiej wołoskiej cerkwi. I nie odmawiali swego towarzystwa staruszkowie lwowscy: św. Jan Chrzyciel nad Starym Rynkiem i św. Mikołaj na Żółkiewskiej, którzy dobrze pamiętali stary Lwów.

Wszystkie chrześcijańskie nacje witały radośnie na ulicach, plantach, zaułkach i przedmieściach lwowskich Zmartwychwstanie Pańskie i wiosnę lwowską.

A przy świątecznie przystrojonych stołach dzielono się wspólnie ze łzami w oczach święconym jajkiem i przebaczano sobie winy wzajemnie.

Notka biograficzna Autora w numerze CL 2/01



Urodzony ur. w 1897 we Lwowie, był synem Marii Dzieduszyckiej (córki fundatora Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie, Włodzimierza Dzieduszyckiego) i Tadeusza Cieńskiego, polityka, posła na Sejm Gali-

cyjski, działacza społecznego, przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego we Lwowie podczas walk o miasto w 1918 roku, senatora II RP.

Ukończył Akademię Rolniczą w Dublinach, po czym wstąpił do seminarium duchownego. Święcenia kapłańskie uzyskał w 1924 roku. Po święceniach pracował kolejno jako wikariusz w Żółkwi, administrator parafii Weldzisz w powiecie dolińskim, kapelan Zgromadzenia sióstr Niepokalanek w Niżniowie. Od 1930 do 1935 r. ks. Włodzimierz pełnił funkcję dyrektora Zakładów Wychowawczych Fundacji Abrahamowiczów, a w latach 1935–39 był proboszczem w Zimnej Wodzie.

Tuż przed II wojną otrzymał nominację na proboszcza parafii św. Marii Magdaleny we Lwowie. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej został kapelanem komendy obszaru nr 3 ZWZ-1, posługując się pseudonimem „Pomian”. Aresztowany przez NKWD 17 kwietnia 1940 r. trafił do więzienia na Zamarstynowie, następnie przewieziony do Lefortowa w Moskwie i skazany na śmierć. W czasie śledztwa był wielokrotnie poddawany torturom m.in. na osławionej Łubiance. Przed egzekucją uratowała go tzw. *amnestia dla Polaków*, będąca wynikiem zawartej w Londynie umowy Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 roku. Zwolniony z więzienia 2 września 1941 r., wstąpił do Armii Andersa, gdzie otrzymał misję stworzenia duszpasterstwa wojskowego. Prowadził negocjacje z władzami sowieckimi w sprawie ewakuacji osób cywilnych, organizował transporty, prowadził aktywne poszukiwania Polaków zagubionych na całym obszarze ZSRR.

Wraz z Armią Andersa opuścił ZSRR, walczył w Afryce, Włoszech, Francji. Po zakończeniu wojny wstąpił do zakonu trapistów w Normandii. Zmarł w klasztorze Briquebec w 1983 r. w opinii świętości.

Z Ewą Cieńską- -Fedorowicz rozmawia Karol Chlipalski

Jest Pani blisko spokrewniona z niezwykłymi księżmi: Włodzimierzem i Janem Cieńskimi; z kolei braćmi pani męża byli księża Tadeusz i Aleksander (Ali) Fedorowiczowie. Wszyscy czterej kapłani urodzili się na Kresach, los każdego z nich wystawił na próbę, z której każdy wyszedł zwycięsko, przy okazji zapisując się w historii Polski. Co najmniej dwaj z nich mają szansę trafić na ołtarze.

Porównując tych wszystkich czterech księży, można powiedzieć, że każdy z nich był zupełnie inny, nie wiadomo który większy, który bardziej święty. Każdy z nich był głęboko doświadczony przez życie, ale każdy w inny sposób. I każdy z nich stanął na wysokości zadania. Każdy z nich był całkowicie oddany temu, co robił. Każdy z nich wiedział, po co został księdzem, i tylko to było dla nich ważne.

Na czym te różnice polegały?

Po pierwsze ich losy były inne. Ali był schorowany od dzieciństwa. Chciał zostać księdzem, ale mu mówiono, że się nie nadaje, bo ma takie słabe zdrowie. On tymczasem wbrew wszystkim przeciwnościom został księdzem, zbudował kościół własnymi rękami, jedynie z pomocą siostry Klary. Był najmłodszy z nich wszystkich i miał najkrótsze życie. I cały czas bardzo cierpiał. Ksiądz Tadeusz najgorsze przeżył w czasie wojny. Sam, z własnej inicjatywy pojechał do Kazachstanu, do czego potrzebna była odwaga. Najdłużej cierpiał ksiądz Jaś w Związku Sowieckim, gdzie ustawicznie, całymi latami narażał swoje zdrowie, a nawet życie. Ksiądz Włodzimierz z kolei przeszedł przez Łubiankę, sowieckie okrutne więzienie śledcze, gdzie poddawany był długotrwałym przesłuchaniom i torturom.

Kiedy i przy jakiej okazji poznała Pani księży Włodzimierza i Jana Cieńskich?

Obu księży Cieńskich poznałam w 1938 roku na prymicach stryja Jasia. Miałam wte-

dy 14 lat. Było to w Oknie, majątku Cieńskich. W tamtejszym kościele odprawiona została msza św. prymicyjna. Z tej okazji odbył się zjazd rodzinny, na który przybyło wiele osób. Część gości nocowała u rozmaitych krewnych w sąsiednich dworach, których w tych stronach nie brakowało. My nocowaliśmy w sąsiedniej Drohiczówce u stryjostwa Wielowieyskich. Ciocia Anusia była bowiem jedną z licznych siostr księży Włodzimierza i Jana.

Niewiele pamiętam z tego zjazdu. Byłam ogłuszona gwarem, zmęczona długą mszą świętą prymicyjną odprawianą przez obu braci, a także oglądaniem parku i położonych w nim stawów – oknin, od których zapewne pochodziła nazwa majątku. Wciąż mnie ktoś zagadywał, ścisnął, tłumaczył, że jest taką a taką ciotką, stryjem, wujem. Zwróciłam tam uwagę na przystojną młodą parę. Zapytałam mamę, czy to też wujowie. Powiedziała, że to Jerzy i Marylka Fedorowiczowie, ich majątek też się nazywa Okno, że mają dwoje małych dzieci, a jeden z braci Jurka, Tadeusz, też jest księdzem. Kto by wtedy pomyślał, że w niedalekiej przyszłości, w zupełnie innych warunkach, gdy nie będzie już dworów, dostatku i rodzinnych spotkań, w dalekim kraju na wygnaniu jeden z braci nowo poznanego Jerzego zostanie moim mężem? Wcześniej jednak wybuchnie wojna, Jurek wkrótce zginie, odznaczony krzyżem Virtuti Militari, a mój przyszły mąż wyląduje w sowieckiej mordowni.

Jakie były losy Pani znajomości z oboma braćmi Cieńskimi?

Lepiej poznałam ks. Włodzimierza Cieńskiego, który eskortował mnie przez ważny okres mego życia. W sierpniu 1939 Ojciec nasz wyjechał na wojnę z Niemcami i słuch o nim zaginął. W parę tygodni po tym, już po wejściu Sowietów, my, czyli mama, moje dwie siostry i ja, uciekłyśmy z Ossowiec, naszego majątku, do piekielnie zatłoczonego uchodźcami Lwowa. Stryj Włodzimierz, który był wtedy proboszczem w kościele św. Marii Magdaleny, cudem znalazł nam mieszkanie. Nawiasem mówiąc, o czym nie mogłyśmy jeszcze wtedy wiedzieć, kapelanem wuja Włodzia był wówczas ks. Tadeusz Fedorowicz.

We Lwowie przez całą zimę chodziłyśmy do szkoły, do Sacré Cœur, która była

niedaleko kościoła św. Marii Magdaleny. Widywałyśmy wuja prawie co dzień tak w kościele, jak i na plebanii. Pewnego dnia szkołę zamknięto, siostry uwięziono w suterenach, wejścia pilnował sowiecki wartownik. Tymczasem pojawił się stryj Włodzio z Najświętszym Sakramentem. Z koleżanką więc zagadałyśmy do wartownika, który był zachwycony, że polskie pensjonarki zwróciły na niego uwagę, i tak się rozgadał, że nie zauważył, jak stryj wśliznął się przez małe drzwiczki w klasztornym murze. Po kilku dniach miałyśmy powtórzyć manewr, ale już nie zdążyłyśmy...



Na przeszkodzie stanęła wywózka do Kachstanu...

Tak. Zanim to nastąpiło, pewnego dnia poszłam z mamą do spowiedzi do kościoła św. Mikołaja. Konfesjonałów było kilka, czekających wielu. Tylko w jednym z konfesjonałów siedział ksiądz, a przed nim pusto. Ruszyłyśmy w tamtą stronę, ale podeszła do nas jakaś pani i szeptem nas uprzedziła, że ten ksiądz to „ksiądz patriota”. „Patriotami” nazywano wówczas księży donosicieli, którzy zbierać informacje nie wahali się w konfesjonałach, więc parafianie przed nimi ostrzegali niewtajemniczonych. Gdy wreszcie udało nam się dostać do księdza, któremu można było zaufać, ten po spowiedzi zasugerował mi, żebym następnym razem poszła do Marii Magdaleny, bo to bliżej mojej szkoły, a poza tym jest tam świetny spowiednik – ks. Cieński. Więc już wtedy ten młody, nowo przybyły na parafię ksiądz był znany i ceniony.

Jak rozumiem, następnym razem spotkała Pani ks. Włodzimierza Cieńskiego już w innym miejscu i innych okolicznościach, czyli w Azji Środkowej, gdzie wraz z mamą i dwiema siostrami została Pani wywieziona ze Lwowa.

Tak. Ale, jak się okazało, był obok nas w momencie wywózki. Gdy 13 kwietnia 1940 roku siedziałyśmy przez wiele godzin za-

KS. BISKUP JAN CIEŃSKI



Urodził się w 1905 r. w Pieniakach, zmarł w 1992 r. w Złoczowie. Młodszy brat ks. Włodzimierza Cieńskiego.

Podobnie jak starszy brat ukończył Akademię Rolniczą w Dublanach, studiował też prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W 1933 r. wstąpił do seminarium duchownego. W 1938 roku otrzymał we Lwowie święcenia

kapłańskie z rąk arcybiskupa Bolesława Twardowskiego. Od 1938 r. przez 54 lata pracował w parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Złoczowie: kolejno jako wikariusz, administrator i od 1945 r. oficjalnie jako proboszcz. Dodatkowo pełnił też funkcję kapelana Inspektoratu Złoczów Armii Krajowej. W lutym 1944 roku na wieść o pacyfikacji Huty Pieniackiej przez ukraińskich nacjonalistów udał się natychmiast na miejsce mordu i wyprawił pogrzeb ofiarom rzezi.

Od jesieni 1945, przez cały okres trwania Związku Sowieckiego na tych terenach, był jednym z nielicznych księży katolickich, którzy pozostali na tzw. Ukrainie Zachodniej. W kwietniu 1946 r. abp E. Baziak, przed przymusowym opuszczeniem Lwowa, mianował go wikariuszem generalnym z pełnomocnictwami obejmującymi całą archidiecezję lwowską. 30 września 1967 r. podczas pobytu w Gnieźnie Jan Cieński został konsekrowany na biskupa przez prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wyniesienie Księdza Cieńskiego do godności biskupiej było ze względów bezpieczeństwa utrzymywane w tajemnicy przez cały okres trwania ZSRS. Większość parafian dowiedziała się o tej nominacji dopiero po jego śmierci w 1992 roku.

Biskup Cieński wyświęcił potajemnie kilku kapłanów greckokatolickich i prawdopodobnie dwóch kapłanów rzymskokatolickich, z których jednym jest obecny sufragan archidiecezji lwowskiej bp Leon Mały.

mknięte w bydłych wagonach na lwowskim dworcu, doszły do nas słuchy, że na peronie był ks. Włodzimierz Cieński i że pobłogosławił nasz pociąg. Dwa lata później dowiedzieliśmy się, że po paru dniach aresztowano go, urządzając w jego mieszkaniu kocioł. W ten kocioł wpadł także między innymi ks. Tadeusz Fedorowicz. Stryj Włodzio znalazł się później na Łubiance, gdzie go poddawano wyszukanyemu torturom. Zwolniono go z więzienia dopiero po układzie Sikorski-Majski.

Gdy w kwietniu 1942 roku w drodze do armii polskiej dotarliśmy do Uzbekistanu, stryj Włodzio dowiedział się o naszych losach od spotkanej przypadkowo w pociągu kuzynki Marysi Cieńskiej. Odnalazł nas i ściągnął do głównej kwatery wojska, do Jangi Jul pod Taszkientem. Stryj był wówczas naczelnym kapelanem Armii Polskiej w ZSRS pod dowództwem gen. Andersa. Byliśmy wtedy skrajnie wyczerpane po wielu miesiącach morderczej pracy na plantacjach bawełny i w kolchozach w Kazachstanie i gdyby nie on, zostałyby nam pewnie ze dwa tygodnie życia. Moja młodsza siostra zmarła z głodu kilka dni wcześniej.

Ks. Włodzimierz Cieński starał się roztoczyć nad nami opiekę, mimo że sam chodził wycieńczony i zmaltretowany okrutnym śledztwem i torturami. Miał wtedy natłok obowiązków, łącznie z wyjazdami w teren w poszukiwaniu takich jak my zagubionych w sowieckich przestrzeniach niewolników. Organizował również transporty dla tych, którym sowieci pozwolili na wyjazd do Iranu. Staczał z odkomenderowanym przez Stalina generałem Żukowem prawdziwe boje o każde prawie dziecko, gdyż sowieci nie chcieli wypuszczać cywilów ze swojego kraju. Gdy odchodził ostatni z tych transportów, a ja leżałam ciężko chora w sowieckim szpitalu, stryj stoczył desperacką batalię z dyrektorem tego szpitala, żeby mnie wypisał. Ten nie chciał, bo uważał, że i tak nie przeżyje transportu. Stryj zorganizował nosze, wyciągnął także moją mamę z innego szpitala, gdzie właśnie wychodziła z tyfusu. Odprawił mszę św. w małym przedziale, w którym leżałyśmy z mamą, a gdy pociąg dojechał do granicy, wysiadł i zawrócił, żeby ratować następnych.

Kolejny raz spotkałam stryja Włodzia w Iraku. Pomógł się nam wtedy skontaktować

wać z od lat niewidzianym ojcem. Nie wiem, jak mógł tyle rozmaitych spraw załatwiać na raz. Równocześnie opiekował się byłymi parafianami, swoimi innymi licznymi krewnymi, przyjaciółmi, odnajdywał rodzicom pogubione dzieci i odwrotnie, a przecież jako naczelnny kapelan Wojska Polskiego był odpowiedzialny za funkcjonowanie całego duszpasterstwa.

Czy po wojnie zetknęła się Pani jeszcze z ks. Włodzimierzem Cieńskim? Po wojnie zamieszkała Pani w Anglii, a Pani stryj również nie wrócił do Polski.

Tak, w 1951 roku przyjechał do Londynu udzielić nam ślubu. Później, po tym jak wstąpił do trapistów w Normandii, pojechaliśmy z mężem go odwiedzić. Niezbyt mi się tam podobało, było tam jakoś tak smutno, szaro. Po mszy św. w klasztornej kaplicy, gdzie młodzi zakonnicy wykonywali przedziwne nowoczesne utwory na jeszcze bardziej nowoczesnych instrumentach, żegnając się z nami westchną tylko wskazując wzrokiem kaplicę. Wtedy widziałam go ostatni raz. Nie wiem, czy czuł się tam szczęśliwy i czy w takim właśnie miejscu chciał zakończyć swoje niezmiernie aktywne życie.

Młodszym bratem ks. Włodzimierza był ks. bp Jan Cieński. Czy po prymicyjach w 1938 roku, widziała go Pani jeszcze kiedykolwiek?

Nie, pojechałam do Złoczowa dopiero po jego śmierci i byłam na jego grobie.

Czy rodzina w czasach komunistycznych coś wiedziała o jego losach?

My byliśmy w Londynie i, jak pan się domyśla, niewiele o nim wiedzieliśmy. Wiadomo było, że jest w Złoczowie i że żyje, ale nic poza tym. Wtedy z Polski ledwo docierały do nas wiadomości, a co dopiero stamtąd! O tym, że został biskupem, dowiedziałam się dopiero po jego śmierci. Jego krewni w Polsce też nie bardzo wiedzieli, jak mu się tam powodzi. Nie był człowiekiem, który by się uzał nad swoim losem czy lubiłby mówić o sobie. W roku 1991 bodajże, przed samą jego śmiercią,

był u niego ksiądz Tadeusz z siostrzeńcami. Opowiadał, że stryj leżał w łóżku, był już bardzo schorowany, ale ich obszcrował, że się zanadto nim interesują i że on nie chce żadnej pomocy, żadnej opieki. A oni przyjechali nim zachwyceni. Mówili, że zrobił na nich wielkie wrażenie, pomimo że na początek traktował ich surowo. Ks. Tadeusz był podobny, z rezerwą, nie wyrażał swoich uczuć. Chyba oni wszyscy czterej byli powściągliwi, niewylewni, nieskarżący się, wykonujący swoje obowiązki solidnie, rzeczowo, a gdy trzeba pomóc – pierwsi. Nie był u nich żadnej pozy, udawania.

Braćmi pani męża byli księża Tadeusz i Aleksander Fedorowiczowie. Wspomnijmy najpierw starszego z nich – ks. Tadeusza.

Ten to miał najlepiej! Mieszkał tutaj w Laszkach, hołubiony przez siostry, obskakiwany, obsługiwany. Wielbicieli miał mnóstwo.

Jakie były jego losy wojenne?

Wkrótce po nas pod przybranym nazwiskiem wsiadł do pociągu, takiego, którym wywożono ludzi. Nie wiedział, gdzie jedzie. Dojechał na tereny, na których panowała wieczna zmarzlina. Rąbał tam lasy, siedział wielokrotnie w więzieniu, gdzie też go torturowali. Wszystko to jest w jego książce, której ja nie mogłam czytać. Doczytałam do połowy i odłożyłam.

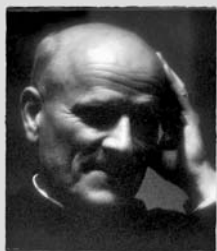
Dlaczego?

Bo gdy Tadeusz pisze, jak tam pięknie w tym Kazachstanie było, jacy tam dobrzy ludzie, jacy uprzejmi śledczy go przestłuchi-



Dwór Cieńskich w Ossowcach, stan przed wojną

KS. TADEUSZ FEDOROWICZ



Urodził się w 1907 r. w Klebanówce na Podolu, zmarł w 2002 r. w Laskach. Był trzecim z dziewięciorga dzieci Aleksandra i Zofii z Kraińskich.

W 1925 roku rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, w trakcie

których zaangażował się w katolicki ruch studencki „Odrodzenie”; magisterium uzyskał w 1929 roku. Po studiach prawniczych, w latach 1930–31, służył w Dywizjonie Artylerii Konnej Szkoły Podchorążych we Włodzimierzu Wołyńskim. W 1931 r. wstąpił do lwowskiego seminarium, studiując równoległe teologię na UJK. Święcenia kapłańskie otrzymał 28 czerwca 1936 roku; po czym pracował na kolejnych placówkach duszpasterskich w Tarnopolu i Lwowie. Jako młody kapłan organizował opiekę nad biednymi i został dyrektorem Domu Ubogich we Lwowie.

W momencie wybuchu wojny był wikariuszem w parafii św. Marii Magdaleny, gdzie pracował pod kierownictwem ks. Włodzimierza Cieńskiego. Aresztowany wraz ze swoim przełożonym 17 kwietnia 1940 roku, został osadzony w więzieniu na Zamarsynowie. Wypuszczony z więzienia zdecydował się dobrowolnie wsiąść do jednego z pociągów, w których mieszkańcy Lwowa byli wywożeni w nieznaną, na co uzyskał zgodę arcybiskupa Bolesława Twardowskiego. Udało mu się to w czasie drugiej próby w czerwcu 1940 r. Trafił do Republiki Maryjskiej nad środkową Wołgą, pełniąc tam w ukryciu obowiązki duszpasterskie. Po zgłoszeniu się do tworzącej się armii gen. Andersa został oddelegowany do pracy wśród rodzin polskich w Kazachstanie. Nie powiadomiony o opuszczeniu Związku Sowieckiego przez Armię generała Andersa, pozostał na środkowym wschodzie. W 1943 roku aresztowany przez NKWD, spędził kilka miesięcy w więzieniu w Semipałatyńsku. Po zwolnieniu z więzienia pozostał w Kazachstanie. Tam otrzymał powołanie do tworzącej się armii gen. Berlinga i w 1944 r. wrócił do Polski jako oficjalny kapłan IV Dywizji.

W listopadzie tego samego roku ks. Fedorowicz został zwolniony z wojska z powodów politycznych. Wkrótce potem ks. Władysław Korniłowicz zaprosił go do pomocy w pracy duszpasterskiej wśród ociemniałych, najpierw w Żułowie, a potem w Laskach, gdzie mieszkał do śmierci. W latach 1948–50 pełnił przejściowo funkcję ojca duchownego seminarium lwowskiego w Kalwarii Zebrzydowskiej. Był spowied-

wali, jakie piękne kwiatki tam rosły, to mnie to tak denerwowało, że nie mogłam czytać. Ja wiem, że był to święty człowiek i wszystkim przebaczał, ale po tym, co przeszłam, trudno mi go było zrozumieć. Zresztą większość ze znanych mi Sybiraków tej książki nie mogła strawić. Wszystkim nam się wydaje, że to nie jest możliwe, żeby w tak sielankowy sposób wspominać swój pobyt w sowieckiej niewoli.

Rzeczywiście ks. Tadeusz Fedorowicz rysuje odmienny obraz Kazachstanu niż inni zesałcy.

Można to wytłumaczyć tak: niech pan sobie wyobrazi jakieś zagubione w głuchym stepie lub tajdze baraki, gdzie wśród Kazachów mieszka garstka Polaków. Są głodni, zmarznięci, odcięci od świata. I nagle zjawia się polski ksiądz. To było dla nich niesłychanym wydarzeniem. No i oczywiście oni tego księdza noszą na rękach, karmią, wożą, wszystkim z nim się dzielą. Zwykle dla Polaków ksiądz jest ważny, a co dopiero tam, na zesłaniu. Więc myślę, że on może troszkę podświadomie na tym korzystał i nic dziwnego, że jego stosunek do tamtejszej rzeczywistości był tak optymistyczny. A może rzeczywiście na śledztwie obchodzili się z nim lepiej? Nie bardzo w to wierzę.

Jak ks. Tadeusz Fedorowicz znalazł się z powrotem w Polsce?

Tadzio wrócił z kościuszkowcami jako ich kapłan. Oni wtedy jeszcze udawali, że szanują księży. Wtedy jeszcze te wszystkie „bieruty” klękały podczas mszy i udawały, że się modlą. No, ale to się szybko skończyło. Ktoś go ostrzegł, że mają na niego oko i wtedy, nie wiem, czy to kardynał Wyszyński, czy kto inny, zaproponował mu, że tu w Laskach będzie się mógł bezpiecznie schronić.

Tadzio, jak wrócił, to oddał się całkowicie młodzieży, gromadził ją wokół siebie. Spowiadał, udzielał ślubów, prowadził na pielgrzymki. Skupiał młodzież w duchu religijnym i ją wychowywał. Zawsze przychodziły do niego tłumy.

Co miał takiego w sobie, że młodzież się do niego garnęła? Miała Pani okazję obserwować go po Pani powrocie do Polski, mieszkając



Dom Jana i Ewy
Fedorowiczów
w Laskach

w tym samym miejscu – a mianowicie w Laskach pod Warszawą.

Nie wiem, ja z nim czasem trochę wojowałam (śmiech). Ktoś skrzywdził przybłąkanego psa. A jestem niezmiernie czuła na punkcie zwierząt, dla mnie są one prawie tak ważne jak ludzie, czasem nawet bardziej (śmiech). – Przecież to tylko pies – powiedział Tadzio ku mojemu wielkiemu oburzeniu. Wojowaliśmy także na temat zbrodni ukraińskich. Mówiłam mu, co UPA wyrabiało na naszych terenach, jak było okrutne. Nie wierzył. Potem już nieco zmienił zdanie, gdy dowiedział się o zbrodniach z innych źródeł.

A czy może Pani opowiedzieć o jego znajomości z Karolem Wojtyłą?

Niewiele wiem. Nawet nie wiem, kiedy się poznali, czy w Lublinie, czy gdzie indziej. Nie słyszałam, by Tadzio o tym opowiadał. Wiem, że kardynał Wojtyła przyjeżdżał tu do Lasek jeszcze z Krakowa, ale nie wiem jak często. Ja nigdy go tu niestety nie widziałam. Kardynała Wyszyńskiego widywałam, ale Wojtyły nie. A potem, po wyborze na papieża, Tadzio jeździł regularnie spowiadać go do Rzymu. Zawsze zabierał ze sobą kogoś z rodziny i przyjaciół.

Ksiądz Aleksander Fedorowicz był najmłodszym bratem Pani męża.

Tak. Aleksandra poznałam w 1961 roku, gdy przyjechałam po raz pierwszy po wojnie z Anglii do Polski. Najpierw do Wrocławia. Na drugi dzień w towarzystwie jednego

z siostrzeńców pojechałam pociągiem tu do Lasek, bo się musiałam przedstawić mojej teściowej, której nie znałam. Teść już nie żył. Było dla mnie wielkie przeżycie. Bałam się, jakie zrobię wrażenie. To była wielka, potężna i surowa dama. Już podczas naszej rozmowy przyszedł też Ali. Skromniutki, cichutki, nie odzywał się ani słowem, bose nogi. Nie wiedziałam, co myśleć o nim. Potem już go więcej nie widziałam. Gdy w 1975 roku powróciliśmy do Polski na stałe, Ali już nie żył. Ja nic więcej o nim nie mogę powiedzieć, ale tutejsi ludzie ciągle o nim mówią. – Aa, to pani jest bratową księdza Aleksandra. – A ksiądz Aleksander mnie chrzczył. – A ksiądz Aleksander mnie spowiadał. – Ksiądz Aleksander mnie uczył. Wszyscy wspominają go z łezką w oku. Ale tyle o nim ksiązek napisali, że ja się nie czuję kompetentna, żeby o nim mówić. Wiem tylko, że mieszkał skromnusięńko. Tu w bocznej nawie kościoła w Izabelinie jest taki pokoiczek, zwany gołębnikiem. Wchodzi się po stromych, ciasnych schodkach. W środku jest taka maciuпка kliteczka, łóżko, umywalka i nic więcej. On tam mieszkał i jeszcze pijaków podobno nocował, gdy nie mieli gdzie się przespać. Oddawał im skarpetki, a sam chodził boso.

Z tego, co wiem, księża, o których rozmawiamy, nie byli jedynymi członkami swoich rodzin, jacy wybrali stan duchowny.

Rzeczywiście, zakonnice były przynajmniej jedna siostra Fedorowiczów i jedna siostra Cieńskich. Siostra mojego ojca

nikiem i przewodnikiem duchowym wielu wybitnych osób zarówno w Laskach, jak w ośrodku duszpasterskim przy kościele św. Marcina w Warszawie. Przez wiele lat był zaufanym powiernikiem ks. Karola Wojtyły, zarówno gdy ten pełnił funkcję metropolity krakowskiego, jak i w czasach watykańskich.

KS. ALEKSANDER FEDOROWICZ



Urodził się w 1914 r. w Klebanówce na Podolu, był młodszym bratem ks. Tadeusza Fedorowicza. Studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (1933–1935); studia przerwał jednak ze względu na gruźlicę. Po pewnym czasie wrócił na

studia, tym razem jednak już w lwowskim seminarium. Po wybuchu wojny kontynuował formację kapłańską prywatnie pod kierunkiem ukrywającego się ks. Kazimierza Kowalskiego, przedwojennego rektora seminarium w Poznaniu, późniejszego biskupa chełmińskiego. 19 listopada 1942 roku przyjął święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa lwowskiego Bolesława Twardowskiego po złożeniu przez rodzinę zobowiązania, że w wypadku jego niezdolności do pracy duszpasterskiej pozostanie na jej utrzymaniu.

Po święceniach pracował m.in. jako wikariusz w Lipinkach pod Gorlicami oraz przy kaplicy cmentarnej w Tywoni w parafii Jarosław. Praca duszpasterska była przerywana kolejnymi kuracjami przeciwgruźliczymi, które w końcu okazały się skuteczne. W 1945 r. trafił za bratem Tadeuszem do Lasek pod Warszawą, gdzie został kapelanem i wychowawcą niewidomej młodzieży. W 1951 został proboszczem erygowanej przez prymasa Wyszyńskiego parafii w Izabelinie, na placówce tej pozostał do końca życia.

W ciągu roku doprowadził do zbudowania kościoła parafialnego. Obok działalności duszpasterskiej aktywnie pracował społecznie, był inicjatorem ruchu trzeźwości oraz pielgrzymek do Częstochowy. Otrzymał zgodę kardynała Wyszyńskiego na sprawowanie liturgii częściowo w języku polskim oraz odprawianie mszy twarzą do wiernych; parafia w Izabelinie obok opactwa w Tyńcu stanowiła pierwsze miejsce w Polsce, gdzie przed reformą Soboru Watykańskiego II msze święte odprawiania były w ten sposób. Ks. Fedorowicz kontynuował pracę duszpasterską także po ujawnieniu kolejnej ciężkiej choroby; zmarł w opinii świętości w 1965 roku po kilkuletniej walce z nowotworem. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Izabelinie.

była u Niepokalanek w Nowym Sączu i tam umarła. A Olga, siostra Federowiczów, najpierw była przez kilka lat we Francji, potem pojechała na misję do Chin. Mieszkała tam, nie wiem, chyba z 10 lat albo więcej, aż do czasów Mao Tse-Tunga, kiedy wraz z całym klaszturem została wyrzucona stamtąd w dramatycznych okolicznościach. Z tego, co słyszałam, przynajmniej jedna z zakonnic ze zgromadzenia, w którym była Olga, zginęła w czasie tej deportacji. Olga wróciła najpierw do Rzymu, a potem do Polski, gdzie umarła.

Czytając pani wspomnienia, zaskoczyło mnie, jak wiele osób ze znanych rodzin ziemiańskich ze wschodu wybierało życie konsekrowane.

Prawda? Dużo ich było! I Czartoryskich, i Dzieduszyckich, i Cieńskich...

A skąd się to brało? Czy z wychowania?

Wszyscy we dworach byli zawsze bardzo religijni. Bardzo się pilnowało przestrzegania norm i zwyczajów religijnych. W każdym dworze była kaplica, oprócz tego, że obok był kościół, zazwyczaj ufundowany przez ten dwór. We wszystkie niedziele i święta jeździło się do kościoła wozem albo saniami. Przed świętami młodzież wraz z dziećmi wiejskimi dekorowała kościół. Dziewczynki zazwyczaj wysyłało się do szkoły klasztornej – najczęściej do Lwowa, do Sacré Cœur albo do Niepokalanek. Chłopców zazwyczaj do kadetów. Ale w każdym razie religia cały czas towarzyszyła życiu ziemian. Ale ja byłam za mała, żeby w tym bardziej świadomie uczestniczyć. Już nie pamiętam szczegółów, byłam mała, kiedy ten świat się skończył.

Dziękuję Pani bardzo za rozmowę.

LISTA OFIARODAWCÓW (6) na wspomnienie wydawania kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS

Ewa Cieńska-Fedorowicz, Laski
Zofia Dudrówna, Kraków
pp. Sojowie, Kraków
Ewa Solecka-Wojtyczka, Rybnik.

Za pomoc gorąco dziękujemy.

Z Barbarą Ołasińską

rozmawia Janusz M. Paluch



Pani Barbaro, od 1998 r. uczestniczy Pani w programie charytatywnym na rzecz Polaków we Lwowie, w ramach działalności Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Rzeczywiście w ideę niesienia pomocy Polakom na Kresach jestem zaangażowana od początku. Zamyśl powołania komórki organizacyjnej, która pracowałaby na rzecz charytatywnego pomagania Polakom na Kresach, powstał podczas Walnego Zebrania Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w listopadzie 1998 r. Byłam inicjatorką i wnioskodawczynią tej działalności. Prof. Zygmunt Kolenda, prezes Krakowskiego Oddziału „Wspólnoty Polskiej”, został wkrótce przewodniczącym nowo powstałej Komisji Charytatywnej, a jej działalność stała się działalnością własną Wspólnoty. Wkrótce okazało się, że powołanie Komisji Charytatywnej było najprostszą sprawą. Kolejnym krokiem, chyba najtrudniejszym i to pod każdym względem, było zebranie pieniędzy w kraju i dotarcie do ludzi na Kresach, którym taka pomoc była najbardziej potrzebna. Mówię najbardziej, bo każdy, kto bywa we Lwowie, kto bywa na Kresach, wie, że takiej pomocy potrzebują niemal wszyscy starsi ludzie. Trzeba było zatem dotrzeć do tych osób najbardziej

potrzebujących opieki i pomocy, dokonać swojej inwentaryzacji potrzeb oraz zdecydować, komu taką pomoc należy przyznać. Otrzymaliśmy różnego rodzaju listy z nazwiskami od polskich organizacji działających na Ukrainie, z rzymskokatolickich parafii czy w końcu od znanych i nieznanych nam osób, mających rozeznanie wśród Polaków tam mieszkających.

W pierwszym wyjeździe rozpoznawczym do Lwowa uczestniczyli prof. Kolenda i p. Andrzej Chlipalski, ówczesny prezes Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Ich opowieści i przywiezione zdjęcia były wstrząsające!

Potem wyjechaliśmy na rekonesans do Lwowa i jeździliśmy od osiedla do osiedla, chodziliśmy pieszo, jeździliśmy tramwajem, taksówką i autobusami, docierając do różnych miejsc Lwowa, rozmawialiśmy z ludźmi, wypełniając opracowaną wcześniej ankietę. Tych ankiet zebraliśmy kilkaset. Wobec takiej liczby ankiet, ustaliliśmy kryteria, które mają spełniać nasi przyszli podopieczni, a to:

- że są Polakami,
- mają ukończone 70 lat,
- cierpią na brak opieki ze strony rodziny,
- trapi ich choroba lub nieuleczalne kalectwo,
- są rodzinami wielodzietnymi,
- są samotni, opuszczeni, niedołężni.

Kwalifikowaliśmy potem na tej podstawie osoby wymagające opieki finansowej, ale nie tylko, bo i lekarskiej, farmaceutycznej czy rehabilitacyjnej. Było wiele osób potrzebujących najzwyczajniejszej laski, kuli czy nawet wózków inwalidzkich, a otrzymanie takowych w warunkach ukraińskiej opieki medycznej graniczyło niemal z cudem.

Naszą główną dewizą, od której nigdy nie odstępiliśmy, było: *osobiście przekazujemy pieniądze, nigdy przez osoby trzecie, za pokwitowaniem przez podopiecznego odebranej kwoty*. I tak jest do dziś. Dzięki osobistemu kontaktowi z naszymi Rodakami znamy ich potrzeby, cieszymy się, gdy zdrowieją, rozmawiamy o ich codziennych problemach i radościach.

Kto dokonywał tej analizy i podejmował trudne decyzje dotyczące niesienia pomocy finansowej?

Jak już powiedziałam, przy Krakowskim Oddziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” została powołana Komisja Charytatywna, składająca się z członków Stowarzyszenia, pracujących na zasadzie wolontariatu (niektórzy członkowie komisji byli wówczas pracownikami w różnych instytucjach), działająca na podstawie uchwalonego statutu i regulaminu pracy, pod kierunkiem prof. Zygmunta Kolendy. Dokumenty te wyraźnie określały cele naszej działalności, źródła pozyskiwania pieniędzy i sposób ich wydatkowania, a także, kto w ramach niesienia pomocy może otrzymywać tę pieniężną zapomogę w oparciu o ustalone kryteria. Pożyczkowo komisja zbierała się co miesiąc, a śp. pani Krystyna Bobrowska informowała komisję o stanie naszego charytatywnego konta, ustalaliśmy listę nowych podopiecznych, terminy wyjazdów. Potem, w miarę stabilizacji list podopiecznych, spotykaliśmy się tylko przed wyjazdami, aby ustalić kwotę, przypadającą na jedną osobę wymagającą naszego finansowego wsparcia.

Skąd zatem braliście pieniądze na pomoc?

Wkrótce po powołaniu naszej komisji, został zrealizowany film dla TVP 1 przez pana Dariusza Walusiaka, subsydiowany m.in. przez „Wspólnotę Polską”, ukazujący problemy, z jakimi borykają się nasi rodacy mieszkający we Lwowie. Ten film spotkał się z dużym zainteresowaniem naszego społeczeństwa. Równocześnie Telewizja Polska przed lub tuż po wieczornym wydaniu „Wiadomości” kilkakrotnie nadawała apel o niesienie pomocy Polakom na Kresach. Odzew społeczeństwa polskiego na te filmy był tak wielki, że trzeba było stworzyć dyżury w krakowskim Domu Polonii, gdzie siedzibę ma Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”. Siedzieliśmy przez dwa tygodnie, dzień w dzień do późnego wieczora, a ludzie telefonowali z całej Polski! Nasza działalność – nie akcja, bo akcja jest jednorazowa, a nasza systematyczna działalność trwa po dzień dzisiejszy. Pracujemy w ten sposób społecznie już 14. rok! I zaczęły spływać z całej Polski, od ludzi i od zakładów pracy, pieniądze. Nie wyobrażaliśmy sobie w najskrytszych marzeniach, że to będą tak ogromne pieniądze. Dzięki mediom zebraliśmy prawie 700 tys. zł, które umieszczone

zostały na lokatach bankowych. Równocześnie pracowaliśmy nad zebranymi ankietami. Ze Lwowa przywieźliśmy ponad 350 ankiet! Wkrótce z innych miejscowości na Kresach spłynęło drugie tyle. W naszej bazie mieliśmy prawie 700 osób – Polaków oczekujących na pomoc! Wydawało nam się, że tych pieniędzy jest strasznie dużo, że dzięki skrupulatnej gospodarce nimi, nigdy ich nie wydamy. Niestety, nasze nadzieje okazały się złudne...

Przecież pracują państwo już 14 lat, to przecież sukces, nawet jeśli z braku możliwości finansowych będziecie musieli zawiesić działalność!

Pewnie ma pan rację, ale może gdyby nie nasza „rozrzutność” i wiara, że pieniądze będą zawsze, sytuacja wyglądałaby, być może, dzisiaj inaczej.

Rozrzutność? Przecież z każdym groszem postępowaliście jak prawdziwi finansiersi, oglądając go dokładnie na każdej stronie, zastanawiając się nad celowością jego wydania.

Może nieco przesadziłam z użyciem tego słowa... Chodzi mi o to, że początkowo aż cztery razy w roku wspomagaliśmy naszych podopiecznych. Można było przecież wspomagać tylko trzy razy w roku, co pozwoliłoby nieco dłużej tę pomoc utrzymać. Wydawało nam się jednak, że ta pomoc płynąca z całej Polski od ludzi gorącego serca będzie trwała cały czas. Ponadto nawiązaliśmy wówczas kontakt ze Związkiem Lekarzy Polskich we Lwowie, którym kierowała pani dr Ewelina Hrycaj-Małańcz. Zaoferowała nam pomoc polegającą na tym, że kilku polskich lekarzy nie tylko będzie przyjmować naszych podopiecznych w gabinetach, ale poświęcą się i pójdą do wskazanych przez nas obłożnie chorych osób, które dotychczas były pozbawione pomocy medycznej. Lekarzy opłacaliśmy z tych pieniędzy. Potem, z różnych powodów, zrezygnowaliśmy z tej współpracy.

Mówimy w tym miejscu o lekarzach polskiego pochodzenia, którzy urodzili się na Kresach, a medycynę skończyli na uczelniach miejscowych lub w Polsce...

Oczywiście. Nawiązaliśmy też kontakt z tamtejszym doktorem – Borysem Sawczykiem. To lekarz, wyjątkowy człowiek. Polo-

nofil. Polecił nam do współpracy lekarkę, Ukrainkę, która bez zarzutu wywiązywała się (odpłatnie) z wziętych na jej barki obowiązków. Pieniądże rozchodziły się, ale do 2005 r. dysponowaliśmy jeszcze dość dużymi kwotami. Potem wyjeżdżaliśmy już tylko 3 razy do roku, a teraz, od dwóch lat – 2 razy do roku. Niestety, pieniądze nie spływają „szerokim strumieniem” na nasze konto.

Polacy na Kresach zawsze mieli oparcie w swoich parafiach. Czy państwo w swej pracy również mogli liczyć na duchowieństwo?

Nawiązaliśmy, i to już w początkach naszej działalności, kontakt z proboszczem parafii pod wezwaniem św. Antoniego przy ul. Łyczakowskiej, o. Władysławem Lizunem, który przekazał nam informacje o swoich podopiecznych. Taka weryfikacja pozwalała na wyeliminowanie podwójnej pomocy, a tym samym rozszerzenie liczby osób objętych naszą pracą charytatywną. Podobne wsparcie znaleźliśmy u ss. Józefitek, które swe Zgromadzenie Generalne mają w Krakowie. Współpracuję z tymi lwowskimi Siostrami do dzisiaj. One mają we Lwowie dwa ośrodki – jeden przy ul. M. Kopernika, drugi na ul. Tatarbunarskiej. Także z nimi porównaliśmy nasze listy. W niektórych przypadkach listy pokrywały się. Pomoc niesiona przez siostry zakonne polega na dostarczeniu żywności, opiece pielęgniarskiej, utrzymywaniu w czystości mieszkań osób obłożnie chorych, dostarczaniu lekarstw, itp. Siostry józefitki przejęły z naszej listy część osób wymagających stałych kontaktów i opieki pielęgniarskiej, takiej, jak zmiana opatrunków, wypranie pościeli, umycie naczyń, zmiana bielizny, itp. Proszę sobie zatem wyobrazić, w jakich warunkach niektórzy żyli – i być może nadal żyją! Cóż takim osobom po pieniądzech, które mogliśmy zostawić? One potrzebowały i potrzebują zrobienia zakupów, posprzątania mieszkania, zmiany pościeli, pomocy przy toalecie, itp. Taką pomoc mogły zapewnić na miejscu tylko siostry józefitki. I robią to do tej pory, oczywiście my ich pracy nie opłacam, bo tłumaczę, że jest to ich posłannictwo, misja. (*Być wszystkim dla wszystkich* – słowa założyciela zakonu, św. Józefa Gorazdowskiego). I chwala im za to, że tam są! Siostronom zawozimy lekarstwa, środki opatrunkowe, itp., wiedząc, jak bardzo takie dary są potrzebne. Zaprzy-

żajniona krakowska apteka pp. mgr Agaty Idzik i Sabiny Białas daje nam nieodpłatnie środki opatrunkowe w bardzo dużych ilościach, płyny odkażające, plastry, potrzebne lekarstwa. Wspiera nas także organizacja „Lekarze bez Granic”.

W pracy organizacji charytatywnej zawsze można opierać się na młodzieży. We Lwowie są dwie szkoły polskie, a także, mówi się, że aktywnie działa harcerstwo polskie. Czy próbowali państwo nawiązać kontakt z młodzieżą, by zachęcić ją do niesienia bezinteresownej pomocy starszym Polakom?

Niestety nasze apele pozostały bez echa. Byłam w tej sprawie w redakcji „Kuriera Galicyjskiego”. W rozmowie sugerowałam, że młodzi polscy inteligenci, wykształceni w Polsce i na Ukrainie, mogliby powołać np. Klub Młodej Inteligencji, powinni się zrzęczać, radzić, debatować. Mogliby prowadzić zajęcia w ramach działalności Uniwersytetu Trzeciego Wieku zrzeszającego starsze osoby polskiego pochodzenia, a stąd, do tworzenia organizacji charytatywnych lub przynajmniej wolontariatu charytatywnego – już niedaleko. Pierwsza odpowiedź jaka padła, że *nie mają gdzie się spotykać*. Odpowiadałam, że w Polsce najpierw spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach; kiedy okrzepliśmy i mieliśmy już sprecyzowany cel działania, zaczęliśmy poszukiwać innych możliwości spotkań. Taką działalność charytatywną można by przedstawić ks. proboszczom, znajdzie się salka, znajdzie się gorąca herbata. Niestety, nie rozumiem, dlaczego jest taki duży „opór materii”. Czy to wynika z tego, że jesteśmy tam niedużą grupą etniczną, rozrzuconą w wielkim mieście? Trzeba jednak zaczynać od młodzieży ze szkół średnich, aby wdrożyć ją do *pomocy bliźniemu*, jak mówi rota przysięgi harcerskiej. ...

Kiedy świat pomagał Polakom stłamszonym stanem wojennym, często konkretne rodziny ze świata pomagały konkretnym rodzinom w Polsce. Czy ten model nie zdałby egzaminu w przypadku Kresów? Proszę o kilka przykładów.

Kiedy przebiegam myślą naszych podopiecznych we Lwowie, ludzi starych, samotnych, biednych, chorych, opuszczonych, czasem w skrajnej nędzy, to widzę

ich wszystkich – ich zimne mieszkania, nory, sutereny, poddasza, nędzne klitki bez ubikacji, zlewu, łazienki. Często głodnych, pozbawionych opieki lekarskiej. Żyjących z nadzieją, że może coś się odmieni na lepsze albo umrą i już będzie koniec tej męczarni. Wszyscy mają powyżej 70 lat, tylko czasem mniej, ale to są ci, których sytuacja rodzinna, zdrowotna, wymaga finansowego wsparcia. Emerytura, każdemu po równo, ok. 850 hrywien, to jest 350 zł, ledwie wystarcza na namiastkę życia. Ceny podobne jak w Polsce, ale co można kupić za 350 zł opłaciwszy gaz, wodę, prąd i lekarstwa?

Pani Maria ukończyła 90 lat. Nie ma rodziny, mieszkająca sama, wysoko, w pokoiku na poddaszu. Nie ma kuchni, bo trudno nazwać kuchnią półeczkę za wejściowymi drzwiami, na której stoi jednopalnikowa kuchenka. Cud, że Pani Maria nie poparzyła się dotąd. Pani Maria nie ma też łazienki, ma okropną ubikację. Cztery razy w tygodniu pości, postny chleb z makiem. Jeszcze dwa lata temu chodziła codziennie do kościoła. Dziś już nie chodzi, boi się złamania nogi lub ręki, wtedy byłoby naprawdę bardzo trudno, zresztą nie ma butów. Nie widzi, ma zaćmę, słabo słyszy. Jest pogodna. Chciałaby wyjść choć jeszcze raz z domu, ale z kim i w czym? Chciałaby radio z długimi falami, bo mogłaby słuchać polskich audycji. Niestety ledwo wystarczy na ten chleb, mleko i opłaty.

Pani Ewa nie ma nóg. To cukrzyca. Jej ostoja i najczulszym pielęgniarzem był mąż. Niestety, umarł w tym roku na atak serca. Przychodzą siostry józefitki, ale ile trzeba pampersów, ile trzeba lekarstw, ile trzeba miłości, żeby to wszystko wytrzymać? Pani Ewa płacze. Boże, daj mi umrzeć.

W dziwnym mieszkaniu, do którego schodzi się po drabince, potem po dachu garażu, mieszka Pani Zosia. Pani Zosia ma tak niską emeryturę, że też pości co drugi dzień. Jest bezradna i samotna. Nie ma żadnej rodziny. Nie widzi, ma gruzlicę oczu. Zjadłaby chętnie kawałek kiełbasy i podzieliłaby się jeszcze ze swoimi ślicznymi kotkami, ale skąd wziąć na takie rytasy pieniądze?

Trochę na obrzeżach Lwowa jest w ogrodzie altanka. Przez szpary wieje wiatr. Zimno tu i wilgotno nawet w lecie. Siwa Pani Emilia wegetuje tu wraz z niepełnospraw-

nym umysłowo synem. Jesteśmy tam dwa razy do roku, o różnych porach, a Pani Emilia zawsze smaży naleśniki dla syna. Z mąki i wody. A co do tych naleśników? Jak to, co, dziwi się Pani Emilia, dobrze, że mi wystarcza na mąkę, i zaprasza do jedzenia. Na czym usiąść? Gdzie? Jakiś okropny stół, kiwające się krzesło. Skrajna nędza wygląda z każdego kąta. Jak wyżyć we dwoje z jednej renty? Czy kupić buty, czy ziemniaki na zimę? A skąd wziąć pieniądze na leczenie syna? Kto pomoże?

Jak wyglądała praca pań we Lwowie?

Do Lwowa zawsze jeździliśmy nocnymi autobusami i takimi wracaliśmy. Po podróży od rana mogłyśmy przystąpić do pracy. Jeździliśmy trójkami, w taki sposób, by nasza obecność była dostatecznie długa, by się zazębiała. We Lwowie czekał na nas transport, oczywiście opłacany przez nas. We Lwowie podjęliśmy współpracę z zafanymi, poleconymi nam Polakami, którzy doskonale znają tamtejsze realia, mówią świetnie po ukraińsku i pełnią rolę opiekunów naszych podopiecznych. Są wolontariuszami, chociaż otrzymują drobną gratyfikację za współpracę z nami. Też muszą brać urlopy, kiedy przyjeżdżamy do Lwowa. Są zawsze, na każde wezwanie, gotowi pomagać podopiecznym. A jest co załatwiać, choćby tzw. „subsytia”, czyli ulgi za gaz i prąd, czy znalezienie siostry z tzw. *Sobezu*, czyli opiekunki, która robi zakupy i sprząta, oczywiście za opłatą. Nasi podopieczni nie są w stanie tego załatwić sami. Często wysyłamy lekarstwa, okulary, pampersy czy inne potrzebne im środki medyczne, wtedy to właśnie nasi wolontariusze dostarczają je podopiecznym. Jestem przekonana, że oni pozostaną już tymi opiekunami nawet wtedy, gdy nas tam zabraknie.

Proszę powiedzieć kilka słów o osobach, które pracowały i pracują w tej komisji...

Rzeczywiście w komisji w ciągu tych lat pracowało wiele osób. Wiele pracy włożyła nieżyjąca już pani Krystyna Bobrowska, której mąż rozpoczął prace nad ratowaniem Cmentarza Orłąt Lwowskich. Dzięki swoim kontaktom pozyskiwała od zaprzyjaźnionych firm dotacje na naszą działalność, poza tym prowadziła też sprawy rozliczeń. Krótko mówiąc, jak księgowa, trzymała to wszystko

w garści, na bieżąco informując nas o nowych wpłatach i wysokości pomocy, jakiej możemy udzielać. Nasz charytatywny „team” składa się z 8 czynnych osób, w większości członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Wymienić tu należy panią Romanę Machowską, z której inicjatywy rozszerzyliśmy (chyba od 2000 r.) naszą pomoc poza Lwów, a z którą jeździła przez ostatnie 2 lata pani Barbara Szumska. Nie można pominąć państwa Wiesławy i Bronisława Orskich, którzy zorganizowali pomoc w Samborze i okolicach. Oni docierają do prawie 40 wiosek w okolicach Sambora! Wiele pomagali państwo Roma i Jerzy Żukowie. Po śmierci pana Jerzego zastąpiła go w wyjazdach pani Urszula Kogut. Do Lwowa „od zawsze” jeżdżą pp. Teresa Kondolewicz-Wilkowa, Małgorzata Stępka i ja. Jeździł też z nami, nieżyjący już od paru lat, pan Andrzej Kuzak. Średnia wieku komisji powyżej 70 lat! Tu trzeba także wymienić tych, którzy pomagają nam we Lwowie. To jest bardzo ważne, bo bez tych osób niewiele byłibyśmy w stanie zrobić. Dużą pomoc uzyskiwaliśmy od pani Czesławy Lemiszki – romanistki, która pracowała w bibliotece uniwersyteckiej, a którą od dwóch lat zastępuje pan Józef Żak. W tym gronie była też pani Alicja Sarabacha, która osiem lat temu zamieszkała w Polsce, a zastępuje ją od 2004 r. pani Wika Łomanowska, natomiast od samego początku jest, wspomniany już, pan Andrzej Kowalczyk, nasz kierowca i tłumacz. Drugim naszym kierowcą jest pan Lonia, niezwykle życzliwy i ze wszech miar pomocny. Jesteśmy im za to bardzo wdzięczni i bardzo za pomoc dziękujemy!

Patrząc z perspektywy tych 14 lat, czy życie Polaków we Lwowie się poprawiło?

Te osoby, które żyły w okropnej nędzy lub były ciężko chore, już zmarły. Tak więc z tej perspektywy – nędzy już mniej widzimy wśród naszych podopiecznych. Pozostało jednak opuszczenie, samotność. Ci ludzie proszą, by przywieźć im jakieś gazety, czasopisma, kalendarz do zrywania kartek, *bo tam można miesiąc coś jeszcze poczytać*. Pozostała też bieda i bezradność, a tego nikt nie jest w stanie zwalczyć. Za 800 hrywien trudno się utrzymać, kiedy mleko w kartonie kosztuje 10 hrywien, chleb 3–5 hrywien, zwykła kiełbasa 40 hr/kg. Proszę

sobie wyobrazić, że musi pan przeżyć miesiąc za ok. 300 zł, przy podobnych cenach jak w Polsce! A w ostatnim czasie wszystko tam podrożało, przede wszystkim żywność, lekarstwa, nawet tramwaj.

Po czternastu latach pracy doszli państwo do niebezpiecznego punktu, po którego przekroczeniu pomoc płynąca z ludzkich darowizn i dobrego serca Polaków mieszkających w kraju ustanie. Doszliście do ściany i co dalej?

Rzeczywiście doszliśmy do ściany. Zostało nam obecnie tylko ok. 35 tys. zł, a drogą eliminacji naturalnej (ludzie umierają) i weryfikacji będziemy pomagać obecnie 110 osobom we Lwowie. Wyliminowaliśmy także tych, którzy swe mieszkania zapisałi osobom mającym w zamian opiekować się nimi do końca życia. Pozostały zatem osoby, które rzeczywiście znikąd nie mogą oczekiwać pomocy. Co dalej? Nie wiem. Uważam, że nie można z tej pomocy zrezygnować. Jako Polacy powinniśmy naszym Rodakom pomagać, wszak to zagmatwana historia spowodowała, że znaleźli się poza Polską. Może trzeba tę pomoc ograniczyć do Lwowa? Ludzie mieszkający poza dużym miastem mają trochę lżej, łatwiej im może w mniejszych społecznościach przeżyć, a życie poza Lwowem jest tańsze.

Ale i na to są potrzebne środki. O ile rozumie Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” sama takich środków nie wygeneruje. Czy są jakieś pomysły na pozyskiwanie pieniędzy na dalszą działalność?

Rzeczywiście „Wspólnota Polska” zajmuje się innymi zadaniami i niesienie pomocy materialnej Polakom na Wschodzie nie jest dla niej priorytetem. Stowarzyszenie ma za cel podtrzymywanie ducha polskiego, kulturę polską, naukę wśród Polonii i wśród Polaków na Kresach, na Białorusi, Litwie, Mołdawii. A ta działalność charytatywna jest dodatkową aktywnością „Wspólnoty Polskiej”. Myślę, że gdybyśmy wiedzieli, czy inne oddziały „Wspólnoty Polskiej” w ten sposób pomagają Polakom na Wschodzie, to uzyskalibyśmy cenne informacje na ten temat. Być może jest tak, że nasza pomoc się dubluje, a przez to rozpraszamy i siły i środki?

To już najwyższy czas, by zastanowić się nad zorganizowaną formą niesienia pomocy. Mam nadzieję, że na walnym zebra-

niu, które się zbliża, będzie szansa o tym porozmawiać. Musimy się zastanowić, jak pomagać charytatywnie odzieżą, żywnością, co też jest ważne i istotne, ale jak przede wszystkim pomagać systematycznie finansowo, bo podopieczny sam będzie w stanie przeznaczyć pieniądze na to, co w danym momencie jest mu najbardziej potrzebne. Czy będzie to wizyta u lekarza, zakup lekarstw, opłata mediów, czy kupienie butów. Musimy sobie też zdać sprawę, że nie rozmawiamy o dużych pieniądzach.

Trzeba więc szukać sponsorów i tak ukierunkować działalność, aby inne oddziały przyłączyły się do niej. Poza tym jest przecież Polonia, z którą „Wspólnota Polska” ma doskonałe kontakty. To są przede wszystkim Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna, Australia czy Anglia. Tam także są stowarzyszenia Polaków, do których trzeba wyjść z apelem poprzez rozgłośnie polskie, prasę, poprzez ośrodki telewizyjne. W takim ośrodku, gdzie jest kilkanaście milionów Polaków, jak Chicago i okręg chicagowski, gdyby każdy Polak wiedział, że jego 5 dolarów przeznaczonych jest na pomoc dla konkretnych ludzi, a jest to bardzo duża kwota dla Rodaka we Lwowie, np. 4 l mleka, to może by to zaowocowało pokazną zbiórką pieniędzy. Ponadto taką działalność informacyjną można przeprowadzić przez struktury kościelne. Są w Polsce składki na kościoły na Wschodzie i ludzie bardzo chętnie dają pieniądze. A gdyby jedną taką składkę w roku przeznaczyć w każdej diecezji w Polsce na pomoc charytatywną dla Polaków chorych, samotnych i opuszczonych we Lwowie i na Kresach? To byłby piękny gest!

Dlaczego o tym mówię? Bo w Polsce ludzie mówią tak: „a u nas też jest bieda, a u nas też jest nędza, dużo rodzin jest wielodzietnych i też nie mają co jeść”. Tak, ale u nas jest Caritas, są MOPS-y, są różnego rodzaju organizacje i fundacje, sponsorzy, stowarzyszenia, które pozyskują pieniądze choćby poprzez ten 1% odpisu, w końcu są też sąsiedzi, na których chyba zawsze w potrzebie możemy liczyć. Tam, we Lwowie i na Kresach nie ma tego wszystkiego. Nikt nie organizuje żadnych akcji charytatywnych. Mało tego, we Lwowie nie ma domu spokojnej starości. Co jest rzeczą niewyobrażalną, aby w takim olbrzymim mieście, jakim jest Lwów, nie było domu spokojnej starości!

Czy zbudowanie takiego domu dla Polaków, którzy dożywaliby tam swoje dni, nie byłoby wspaniałym wyzwaniem dla „Wspólnoty Polskiej”?

Była swego czasu taka idea we „Wspólnocie Polskiej”. Kiedy mieliśmy więcej pieniędzy i dostaliśmy plac u oo. Franciszkanów na ul. Łyczakowskiej, chcieliśmy zbudować budynek, który miałby 10 łóżek. To na początek byłoby zupełnie wystarczające. Chcieliśmy poszukać także jakiegoś domku, nawet za miastem, ale i ta idea upadła, z różnych powodów. Odezwały się też głosy niby zdrowego rozsądku, *kto to będzie później utrzymywał?* Ja bym się o przyszłość nie martwiła, bo jeżeli się czegoś nie zrobi tu i teraz, to co my możemy mówić o przyszłości?! Jestem zwolenniczką tej idei, żeby zbudować albo zaadaptować jakiś budynek we Lwowie na dom spokojnej starości. Bo ci ludzie, którzy nie mają dostępu do lekarza, do których trzeba docierać z pomocą, byłiby w jednym miejscu i mieliby ciepło, czysto, sucho i nie głodowaliby. Mają emerytury, nie musieliby płacić czynszu, mediów, więc te pieniądze byłyby wydawane bardziej celowo. Będziemy się starali powrócić do tej idei. Wydaje się jednak, że bez pomocy naszego państwa „Wspólnota Polska” nie udźwignie takiego problemu. Rozmawiałam o tym ze śp. marszałkiem Senatu Maciejem Płażyńskim, prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, który obiecywał, że w Senacie będzie starał się pozyskać jakąś kwotę, którą będzie można przeznaczyć na ten cel. Niestety tragiczna śmierć przerwała Jego działalność we „Wspólnocie Polskiej”. Trzeba tu jednak jasno powiedzieć – działalność charytatywna nie jest działalnością statutową Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Kończąc naszą rozmowę, można tylko zaapelować o pomoc...

Tak, apelujmy, ale nie tylko do Polaków żyjących w Rzeczypospolitej Polskiej i do Polonii. Apelujemy do młodych Polaków tam mieszkających, aby organizowali pomoc dla tych najbardziej potrzebujących. Rodaków. Niech ogłoszenia o tym, że ktoś za dożywotnią opiekę – chce oddać mieszkanie, trafią do Polaków z ambon, gazet, z informacji w polskich organizacjach we Lwowie. Oby działalność charytatywna została podjęta przez młodych Polaków mieszkających we Lwowie.

Wróćmy jednak do naszego apelu! Proszę podać konto, na które można wpłacać darowizny na rzecz pomocy Polakom na Wschodzie.

Wpłaty można dokonywać przy rozliczeniu podatkowym w ramach 1% na rzecz organizacji pożytku publicznego, do jakich zalicza się Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”. Wpłaty 1% prosimy dokonywać na konto:

OPP – Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”
KRS – 0000034914

Cel – Pomoc Polakom we Lwowie i na Kresach, dla Oddziału w Krakowie (ważny dopisek).

Podając OPP organizacji nie trzeba podawać nr konta.

Ale nie tylko 1%, każda złotówka ofiarowana jako dar gorącego serca zostanie przekazana potrzebującym samotnym, chorym, opuszczonym Polakom we Lwowie i na Kresach. Wpłaty prosimy dokonywać:

1. bezpośrednio w kasie Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” (Dom Polonii, Rynek Główny 14) czynnej od poniedziałku do piątku w godz. 8.00–15.00
2. przelewem na konto bankowe Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Oddział w Krakowie, adres: 31-008 Kraków, Rynek Główny 14, numer konta: 69 1910 1048 4002 9344 1121 0004 z dopiskiem: „Wpłata celowa na pomoc dla opuszczonych Polaków we Lwowie i na Kresach”

Z góry za każdą złotówkę dziękujemy!

A ja Pani serdecznie dziękuję za rozmowę.

BARBARA OLASIŃSKA – ur. 1940 we Lwowie w rodzinie inteligenckiej. Po wojnie mieszkała w Czechowicach na Śląsku, od 1952 w Krakowie. W 1962 ukończyła chemię na UJ. Praktykę badawczą odbyła w Instytucie Technologii Nafty w Krakowie. Przez 13 lat pracowała w Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych w Płocku, zajmowała kierownicze stanowisko w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym. Opublikowała szereg prac naukowych, wygłaszała referaty na sympozjach i seminariach. Wróciła do Krakowa w 1976 do Instytutu Technologii Nafty na stanowisko adiunkta. W 1994 zorganizowała tam Punkt Informacji Normalizacyjnej, została jego kierowniczką. W 2004 r. odeszła na emeryturę. Ma cztery córki i czworo wnucząt.

SPIS HASEŁ SŁOWNIKA ZAMIESZCZONYCH W ROCZNIKACH 2010 i 2011

Bar (I RP)	CL 4/11
Borysław (i dzielnice)	CL 2/10
Budzanów	CL 4/10
Chlebowice	CL 2/10
Drohobycz (2) – dzielnice	CL 2/10
Gródek Podolski (I RP)	CL 4/11
Kamieniec Podolski (I RP)	CL 3/11
Kijów (I RP)	CL 4/11
Lwów – ulice wylotowe z miasta	CL 1/10
Lwów – ważniejsze ulice i place	CL 1 i 2/11
Ożydów	CL 2/10
Płoskirów (I RP)	CL 4/11
Podborce	CL 2/10
Schodnica	CL 3/10
Siemianówka	CL 3/10
Tarnopol (2) – dzielnice	CL 4/10
Tomaszowce	CL 3/10
Winnica (I RP)	CL 4/11
Żytomierz (I RP)	CL 4/11

SPIS NUMERÓW CL, W KTÓRYCH ZNAJDUJĄ SIĘ SPISY HASEŁ ZAMIESZCZONYCH WE WCZEŚNIEJSZYCH ROCZNIKACH

1995–6	CL 1/97
1997	CL 1/98
1998	CL 1/99
1999	CL 1/2000
2000	CL 4/2000
2001	CL 4/01
2002	CL 4/02
2003	CL 4/03
2004	CL 4/04
2005	CL 1/06
2006	CL 4/06
2007	CL 1/08
2008	CL 1/09
2009	CL 4/09
2010–11	CL 1/12

Ze względów technicznych nie możemy obecnie kontynuować Słownika Geograficzno-Historycznego. Czytelnikom serdecznie dziękujemy!

Stanisław S. Nicieja

Jaremcze i Worochta

PERŁY WSCHODNICH KARPAT

W XIX w. ludzie odkrywają przyjemność odpoczynku w górach: zdobywania trudno dostępnych szczytów i porośniętych kosodrzewiną wierchów oraz wędrowania, a zimą szusowania na nartach po zboczach i żlebach. Na kresach dawnej Rzeczypospolitej najwyższe i najatrakcyjniejsze pasma gór w Karpatach Wschodnich nosiły tajemnicze nazwy: Bieszczady, Gorgany, Czarnohora.

Powab tajemniczości miały też nazwy tamtejszych najwyższych szczytów: Howerla, Breskuł, Dancerz, Turkuł, Sywula, Pikuj. Wywodziły się one ze słownictwa mieszkających tam Hucułów – ludu o zadziwiającej mentalności i kulturze ubioru. Perłami tych malowniczych przestrzeni stały się niespodziewanie dwie miejscowości – Jaremcze i Worochta. Im to rozwój ruchu turystycznego na początku XX wieku przyniósł sławę i bogactwo.

O zadziwiającej karierze tych miejscowości zadecydowała najbardziej urokliwa linia kolejowa, jaką zbudowano w Karpatach w latach 1890–1895 – ze Stanisławowa do Woronienki. Był to majstersztyk myśli i realizacji inżynierskiej. Trasa, licząca w sumie 96 km, prawie w połowie przecinała dolinę rzeki Prut, którą aż czterokrotnie na odcinku 40 km przekraczała. Na szlaku tym trzeba było zbudować wiadukty, mosty, tunele i utwardzić brzegi niebezpiecznej rzeki, zwłaszcza po ulewach. W samym Jaremczu zbudowano most kamienny z głównym łukiem o rozpiętości 65 m. Nie było wówczas w Europie większego przęsła. Pod Worochtą natomiast zbudowano imponujący most o ostrołukowych przęsłach. Trasa stała się od początku budowy wizytówką Galicji. Trafiła na tysiące widokówek i fotografii prywatnych, które zgodnie z panującą wówczas modą rozsyłano do rodziny i znajomych. Konstrukcja mostu w Jaremczu na długie lata stała się wzorem dla budowniczych kamiennych mostów na trasach kolejowych w Alpach austriackich i włoskich. Przewodnicy prowadzący wycieczki na Howerlę do dziś

opowiadają, że most jaremczański zreplikowano nad rzeką Isonzo w Salcano w Gorycji na linii kolejowej Klagenfurt–Triest.

GENIALNY BUDOWNICZY

W tym miejscu trzeba oddać hołd genialnemu inżynierowi – projektantowi i budowniczemu tej historycznej, obrosłej legendą magistrali kolejowej – Stanisławowi Rawicz-Kosińskiemu (1847–1923), który jest postacią zapomnianą. W artykułach i na tysiącach widokówek przedstawiających piękny most w Jaremczu nie figuruje nazwisko projektanta i budowniczego. To tak jakby pisząc o Panoramie Raclawickiej nie wymieniać nazwiska jej twórców – Jana Styki i Wojciecha Kossaka. Nie mogąc trafić na nazwisko projektanta mostu w Jaremczu i wiaduktu w Worochcie, myślałem, że jest to jakiś produkt zbiorowy, niemożliwy do jednoznacznej autorskiej identyfikacji. Nic bardziej błędnego. Wynika to stąd, że historiografia polska nie szanuje genialnych wynalazców i konstruktorów. Przegrywiają na jej kartach z krótkowzrocznymi, często przypadkowymi przywódcami różnych nieudanych powstań, zrywów i potyczek. Gdyby losy Polaków były rzeczywiście zależne wyłącznie od nieudaczników politycznych i wojskowych, obnoszących się ze swoimi ranami, to już dawno by nas jako narodu nie było. Musieli być tacy jak Kosiński, ludzie systematycznej pracy organizacyjnej, zapatrzeni w ideały pozytywizmu, które w literaturze polskiej uosabia Bogumił Niechcic: codziennie cegielka po cegielce budować swój dom,

Odbudowa mostu w Jaremczu, 1922 r.
Drugi z lewej Antoni Filas, kierownik prac.
Ze zbiorów R. Botta z Zabkowiec



szczęście materialne i wzbogacać świat duchowych przeżyć.

W tym kontekście biografia Stanisława Rawicz-Kosińskiego jest jak wzorzec w Sevres. Pochodził z Galicji. Był absolwentem Politechniki w Pradze. Po otrzymaniu w 1872 roku dyplomu inżyniera znalazł pracę przy budowie linii kolejowej w Saksonii. Tam w trudnych warunkach terenowych nabrał doświadczenia. W 1881 roku wrócił do Galicji i mając znakomite rekomendacje, pracował w okolicach Żywca. Szybko awansował, obejmując kierownictwo budowy trasy Lwów–Beskid. Powierzono mu realizację najtrudniejszego, liczącego 79 km odcinka przecinającego wschodnie Bieszczady. Zadziwił wszystkich organizacją i tempem prac, bo po dwóch latach od pierwszego uderzenia kilofem, 5 kwietnia 1887 r., przejechał tamtędy pierwszy pociąg. W 1890 r. otrzymał kolejne zadanie: wykonania projektu trasy łączącej Stanisławów z węgierskim miastem Marmarosch Szigeth.

ŚLYNNY MOST I WIADUKT

Najtrudniejszy odcinek od Delatyna do węgierskiej granicy (38 km) przebiegał w skrajnie trudnym terenie pełnym gór, wąwozów, dodatkowo przeciętym korytem „awanturniczej” rzeki Prut i jej zakolami. Kosiński spędził w tym miejscu kilka miesięcy z młotkiem geologicznym w ręku, z mapami, urządzeniami mierniczymi, cyrklami, stołami kreślarskimi, nim zdecydował się ostatecznie, że trasa musi przejść głównie przez lewy brzeg Prutu, przecinając go w czterech miejscach. Były tam zwały potężnych bloków skalnych, a na niektórych odcinkach dziesiątki ton wyrwanych z korzeniami drzew zmieszanych z mułem, które naniósł Prut do swoich zakoli. Kosiński zdecydował, że konieczna będzie budowa aż trzech tuneli, z których najdłuższy, przy granicy węgierskiej, miał mieć 1200 metrów.

Po półtorarocznej pracy miał już w grudniu 1892 roku wszystko rozrysowane, wymierzone i przygotowane. Most w Jaremczu (205 m długości i 32 m wysokości) oraz wiadukt w Worochcie zadziwiły odwagą konstrukcji i urodą. Była to rzeczywiście wizytówka klasy projektanta. Przy budowie, z wyjątkiem tylko jednego przypadku, zastosowano oparte na łuku konstrukcje kamienne. Zdecydowało o tym podłoże skalne,

obfitość drewna na budowę rusztowań oraz ilość i jakość kamieni, które były tam w zasięgu ręki. Tak w ciągu pięciu lat powstał ten cud architektoniczny w sercu dotychczas dzikiego, niedostępnego terenu. Wypracowane rozwiązania konstrukcyjne były na tyle nowatorskie, wizjonerskie i doskonałe w realizacji, że ściągali tam w ramach wizji lokalnej inżynierowie z całej Europy i wykorzystywali te pomysły w swoich realizacjach, szczególnie w Alpach.

Nazwisko Kosińskiego stało się sławne w Europie. Budował jeszcze później linie kolejowe Tarnopol–Kopyczyńce, Czortów–Zaleszczyki, Lwów–Sianki i Lwów–Podzamcze. W 1906 r. trafił do Ministerstwa Kolei Żelaznych w Wiedniu, początkowo jako naczelnik budowy nowych linii, a później dyrektor Departamentu Budowy i Konserwacji. Gdy przechodził do pracy biurowej, żegnano go po królewsku. Zachowały się fotografie i tableau uczestników tej uroczystości, które potomkowie, na szczęście, przekazali do krakowskiego Muzeum Fotografii.

Biografia Stanisława Rawicz-Kosińskiego to historia jednego z najbardziej spektakularnych awansów zawodowych Polaka w zaborze austriackim. Kosiński był patriotą i skutecznie zabiegał, aby budować linie kolejowe na ziemiach polskich. Bez jego pozycji, którą osiągnął w Wiedniu, na pewno skromniej wyglądałaby sieć linii kolejowych w dawnej Galicji. Trzeba o tym pamiętać i biografię Kosińskiego przypominać. W 1908 roku cesarz Franciszek Józef odznaczył go jednym z najwyższych wyróżnień austriackich – Orderem Cesarza Leopolda.

Most w Jaremczu nie miał szczęścia. W czasie I wojny światowej w lipcu 1917 roku wysadziły go wycofująca się wojska rosyjskie. Polacy odbudowali go w latach 1925–1927. W zbiorach Roberta Botta z Ząbkowic zachowały się fotografie z tej odbudowy, którą kierował jego dziadek Antoni Filas. W 1944 r. uciekający przed Armią Czerwoną hitlerowcy ponownie wysadzili ten most. Przewidując, że eksplozja będzie potężna, polecili miejscowej ludności oklejenie szyb papierami, aby zminimalizować skutki wybuchu. Kto tego polecenia nie wykonał, stracił wszystkie szyby w domu, a był to wówczas towar wyjątkowo trudno osiągalny. Po wojnie most nie został już odbudowany. Rosjanie postawili w pobliżu nowy, o niecie-



kawej, banalnej formie i Jaremcze straciło swą wielką atrakcję.

WILLE I PENSJONATY

W okresie międzywojennym Jaremcze i Worochta weszły do wąskiego grona najbardziej znanych polskich zimowisk. Worochtę nazywano „drugim Zakopanem”. Znajdowało się tam renomowane sanatorium dra Franciszka Michalika, wyposażone w najnowsze przyrządy do hydroterapii i pierwsze w Polsce stanowiska solaryjne. Na zboczach okolicznych gór na całym odcinku od Worochty do Jaremcza zbudowano wiele prywatnych willi i pensjonatów. Było ich kilkaset. Nosiły romantyczne nazwy: „Grażyna”, „Nokturn”, „Morskie Oko”, „Dobosz”, „Raj”, „Gencjana”, „Bajka” (własność Dobrzańskich). Jedną z nich wybudował trzykrotny premier RP Kazimierz Bartel – profesor geometrii wykreślnej na Politechnice Lwowskiej, zamordowany w 1941 roku przez Niemców. W sąsiedztwie wznosił swą willę „Miroslawa” ukraiński śpiewak, zwany ukraińskim Caruso, M. Holiński.

Była też w Jaremczu willa Karola Kuhla (1889–1970), wziętego lwowskiego lekarza, przyjaciela znanego ortopedy Adama Grucy. Kuhl, uczeń Ludwika Rydygiera, był osobistym lekarzem m.in. prezydenta Lwowa Stanisława Ostrowskiego, gen. Władysława Langera oraz licznych ziemian. Oprócz willi w Jaremczu, gdzie spędzał z żoną wszystkie wakacje, miał dwie kamienice we Lwowie (przy ulicach Potockiego i Fredry), gdzie prowadził praktykę. Po wojnie osiadł i zmarł w Opolu [...].

W Worochcie przez pewien czas przebywał u swej przyjaciółki leczącej się tam, poetki Oleny Teligi, ideolog ukraińskiego na-

cjonalizmu Dmytro Doncew. To jego chore idee zapłodniły wyobraźnię Stepana Bandery. Tam też była bogata willa architekta Maksa Zukera, którego ukryto przed hitlerowcami, ale gdy jego żonę z dziećmi zamknięto w getcie, wyszedł z kryjóWKi i dobrowolnie oddał się w ręce Niemców. Został rozstrzelany w Delatynie.

Jeden z największych pensjonatów, zachowany do dziś w dobrym stanie, o nazwie „Lena”, należał do Franciszka Dudzika – leśniczego, właściciela restauracji, który pełnił funkcję „letniego” wójta Worochty. Nieopodal dom wczasowy o nazwie „Warszawianka” prowadziła Paulina Horwitzowa. Tam leczył się m.in. Apolinary Sokołowski, powstaniec styczniowy. Dziś w tym miejscu jest bardzo zaniedbane sanatorium przeciwgruźlicze.

Bardzo interesujące w formie było Sanatorium Żydowskie, które zaprojektował architekt, ale też grafik i teoretyk sztuki Józef Awin (1883–1942), zamordowany w lwowskim getcie. W Worochcie pracował fotografik Adolf Błaż. To dzięki jego zdjęciom i widokówkom możemy podziwiać dziś krajobrazy, uroki oraz elegancję tamtejszych willi, pensjonatów i goszczącego w nich towarzystwa. W Jaremczu natomiast konkurencją dla Błaża był stanisławowski fotograf T. Artychowski, który w 1902 r. w dwóch swoich willach, które tam posiadał, stworzył również atelier i wykonywał tysiące zdjęć portretowych goszczącym na wypoczynku.

W Worochcie zbudowano pierwszą polską skocznię narciarską. Ciekawostką było, iż pod nią przebiegała linia kolejowa. Wówczas skoki narciarskie były sensacją. Uważano skoczków za nieobliczalnych ryzykantów, wręcz samobójców. Porównywano ich do akrobatów cyrkowych wykonujących niebezpieczne ewolucje bez zabezpieczeń. Przy skoczni gromadziły się tłumy gapiów [...]

Skocznia narciarska w Worochcie powstała w 1922 roku, wyprzedzając o trzy lata Wielką Krokiew w Zakopanem – najsłynniejszą obecnie polską skocznię. W dniach 4–6 marca 1922 r. na skoczni w Worochcie rozegrano pierwsze mistrzostwa Polski. Absolutną sensacją było, że wygrała je – walcząc z mężczyznami – kobieta, Elżbieta Michalewska-Ziętkiewiczowa (1894–?), słynna z urody, która była jedną z pierwszych na świecie kobiet wykonujących skoki narciarskie. Michalewska była żoną pio-



nera narciarstwa wysokogórskiego, oficera Władysława Ziętkiewicza, który w armii polskiej doszedł do rangi pułkownika. Walczył w kampanii wrześniowej, a później we Francji i zginął w bitwie pod Baccarat w czerwcu 1940 r., skoszony serią z karabinu maszynowego. Jego żona, wybitna już wówczas sportsmenka, która – tylko ze względu na ówczesny regulamin jako kobieta nie została dopuszczona do olimpiady w Chamonix – mieszkała w czasie wojny w Zakopanem. Jak przypuszcza Wojciech Szatkowski z Muzeum Tatrzańkiego, prawdopodobnie przyjęła status folksdojczka. Wyjechała z Polski i ślad po niej zaginął. Nie wiemy kiedy i gdzie zmarła. Gdyby nie cienie prawdopodobnej współpracy w czasie wojny z Niemcami, jej nazwisko byłoby w encyklopediach i leksykonach polskich, bo jej rekord (jako kobiety) na skoczni narciarskiej w Worochcie w 1922 r. nie był pobity przez 80 lat.

Do Jaremcza i Worochty rokrocznie ściągają liczne grono malarzy, m.in. Seweryn Obst, Feliks Wyrzywański, Leon Wyczółkowski, Kazimierz Sichulski, który najczęściej za pobyt w pensjonacie płacił swoim gospodarzom obrazami o tematyce huculskiej. Jak zapisano w kronice, w 1912 r. w Jaremczu wypoczywało 2400 osób. Wśród nich był austriacki następca tronu, późniejszy cesarz Karol I Habsburg. To świadczyło o klasie tego letniska. Incognito przebywał tam też mieszkając u Huculów książę Wasyl Wyszywany, dziwak, należący do rodziny Habsburgów, zafascynowany kulturą huculską, który miał ambicje bycia królem ukraińskim.

Na cmentarzu w Worochcie zachował się grób Henryka Garapicha, krewnego wojewody lwowskiego, który zginął pod Howerlą zasypany lawiną 20 lutego 1933 roku w wieku 26 lat. Pomnik ten przywołuje pamięć o innych tragediach, jakie miały miejsce pod Howerlą. Często schodzące tam lawiny zabijały śmiałków i ryzykantów. Najgroźniejszy wypadek zdarzył się w grudniu 1937 r. Pisała o tym szeroko prasa. Zginęli wówczas znakomity narciarz Leszek Chlipalski* i Andrzej Steusing, syn prof. Zdzisława Steusinga (1883–1952) – po wojnie wybitnego higienisty wrocławskiej Akademii Medycznej.

ŚWIAT ARTYSTÓW

Były Jaremcze i Worochta miejscem spotkań, wędrowek i doznań artystycznych wybitnych polskich twórców. To tam w latach swej młodości (lata 20. XX w.) wyprawiał się Jarosław Iwaszkiewicz zainspirowany rozmowami ze Stanisławem Vincenzem, które mu zadedykował jedno ze swoich pięknych opowiadań „Pod Howerlą”. A wiadomo, że Howerla była najwyższym szczytem w Czar-nohorze.

W Worochcie spędził wiele miesięcy Jerzy Liebert (1904–1931), nazwany przez Jerzego Harasymowicza *poetą Huculszczyzny*, niszczone wiele lat przez chorobę płuc. Dzięki przyjaciółm przechodził tam długie, wielomiesięczne kuracje i pisał piękne, wzruszające wiersze o dramacie przemijania. Niczym Hans Castorp w *Czarodziejskiej górze* Tomasa Manna próbował się ratować przed nieuchronną śmiercią w tym swoim – jak pisał – „huculskim Davos”.

W Jaremczu i Worochcie oraz sąsiadujących z nimi miejscowościach o podobnym klimacie: Delatynie, Dorze, Mikuliczynie, Jamnej i Tatarowie, bywali obok tych najwybitniejszych, jak Jarosław Iwaszkiewicz czy Maria Dąbrowska, również pisarze i poeci, dla twórczości których czas nie był tak łaskawy, chociaż zapisali swe wrażenia z pobytu tam w pięknej artystycznej formie. Jest ich kilkadziesiąt. Poświęcił im obszerny tom studiów wrocławski uczony Jan Choroszy w monumentalnej pracy *Huculszczyzna w literaturze polskiej* (Wrocław 1991). Jest tam wiele cytatów pięknych wierszy, analiz nowel, opowiadań i powieści. Monografia Jana Choroszego stanowi znakomity dowód, jak krajobrazy i atmosfera słynnych czarnohorskich zimowisk, letnisk i uzdrowisk wpisana jest mocno w polską historię i kulturę.

* Syn b. dyrektora Domen i Lasów Państwowych we Lwowie. Świeżo ukończony lekarz medycyny (przyp. red.).

Powyższy tekst wejdzie w skład nowej książki, którą przygotowuje do druku prof. Stanisław S. Nicieja. Książka ukaże się niebawem, a tymczasem Autor nadesłał nam kilka rozdziałów z zezwoleniem na ich wykorzystanie w naszym kwartalniku. Bardzo dziękujemy!

Tadeusz Olszański

ATENY POKUCIA

Stanisławów był perłą oświaty na południowych Kresach! Z ogromnymi tradycjami sięgającymi pierwszych lat założenia miasta przez Potockich, a więc XVII wieku. Pełny rozkwit oświaty nastąpił oczywiście dopiero w latach drugiej Rzeczypospolitej. W ciągu 20 lat jej istnienia działało w Stanisławowie kilkadziesiąt szkół powszechnych, gimnazjalnych, zawodowych plus 4 seminaria nauczycielskie oraz dwie szkoły muzyczne, w tym filia Wyższego Instytutu we Lwowie. Państwowe i prywatne. Osobno męskie i żeńskie. Były to różne pod względem języka wykładowego szkoły – polskie, ruskie, żydowskie, a nawet niemiecka. Aby każdy mógł wybrać taką szkołę, jakiej potrzebował.

Brylantem pierwszej wody wśród wszystkich stanisławowskich szkół było I Gimnazjum Państwowe im. Mieczysława Romanowskiego przy placu Paderewskiego. Najstarsze, z ogromną tradycją, wielce zasłużone. W ogromnym dwupiętrowym zwalistym gmachu o grubych murach.

Budowanym przez 10 lat, w tym samym czasie co znajdujący się obok kościół – wtedy Jezuitów – i oddanym do użytku w 1743 roku! Sprawnym i do dziś funkcjonującym. Początki tej uczelni sięgają wszakże znacznie dalej, bo aż XVII wieku. To bowiem spadkobierca Stanisława Rewery Potockiego, który założył miasto – Andrzej Po-

tockki, wzorem Zamoyskich uważał, że musi być w nim również Akademia! A że Andrzej Potocki był kolejno wojewodą kijowskim, potem kasztelanem krakowskim i wreszcie hetmanem polnym koronnym, a w czasie wyprawy wiedeńskiej namiestnikiem króla Jana III Sobieskiego, czyli drugą osobą w Rzeczypospolitej, więc nie tylko szybko miasto rozbudował i murami obronnymi otoczył, ale i Akademię założył.

Prawo do nauczania młodzieży w tym czasie mieli Jezuiaci, ale Andrzej Potocki zwolennikiem tego zakonu raczej nie był, gdyż żadnych zapisów na jego rzecz nie dokonał. Może i dlatego że Jezuiaci głosili, iż to nie Potoccy założyli miasto. Naprzód musiał więc Andrzej Potocki podnieść probostwo w Stanisławowie do rangi kolegiaty, gdyż również tej instytucji kościelnej przysługiwały uprawnienia do prowadzenia szkół. I wreszcie w 1668 roku Akademia otworzyła podwoje. A. Potocki zarówno kolegiatę, jak i uczelnię w majątek w postaci licznych włości wyposażył, aby miały się z czego utrzymywać. Było to jak na owe czasy coś tak niezwykłego, że przejeżdżający w 4 lata później przez Stanisławów Fryzyczyk Ulryk Werdum w diariuszu swojej podróży zwrócił uwagę na *wysoką szkołę z pięciu profesorami* jako na wielką osobliwość miasta. W Akademii po łacinie i po polsku uczono scholastyki, retoryki, filozofii, matematyki i historii, a także greki. Powstanie uczelni, do której przyjmowano młodzież już czytać i pisać umiejącą, na uważanych za dzikie Kresach, wywołało wówczas nie tylko duże wrażenie na całych tych ziemiach, ale również podziw we Lwowie i Krakowie. I nawet liczne wojny, które się przez Stanisławów przetoczyły, nie zniszczyły uczelni, która szybko zyskała miano Aten Pokucia, bo o Arystotelesie i greckich filozofach tam wykładano.

Po różnych perypetiach w 1716 roku szkołę przejęli Jezuiaci, którym pozwolono osiedlić się w Stanisławowie. Głównie też dzięki ich staraniom o finansowe wsparcie zebrano środki i zbudowano kościół oraz przylegający do niego gmach Kolegium, bo taka nazwa przysługiwała prowadzonej przez zakon szkole. Kościół i Kolegium należą do najbardziej zabytkowych budowli miasta i razem z Kolegiatą są ozdobą pla-

Stanisław Rewera Potocki
Andrzej Potocki



Nasza Ziemia

cu Paderewskiego. Z tym tylko, że kościół Jezuitów w 1884 roku został przekazany biskupstwu grekokatolickiemu i przekształcony w cerkiew. W sumie jest to imponujący do dziś architektoniczny kompleks: świątyni i szkoły.

Z pierwszym rozbiorem Polski Stanisławów opanowali Austriacy. Z miejsca też, w 1784 roku, zabronili nauczania po polsku i wprowadzili język niemiecki. Tak było do 1849 roku, kiedy po Wiośnie Ludów, która wstrząsnęła monarchią Habsburgów, dopuszczono częściowe używanie języka polskiego. W tym samym czasie na Węgrzech, gdzie Austriacy krwawo stłumili powstanie, w ramach restrykcji wręcz zakazano nauczania po węgiersku i o dziwo, do stanisławowskiego Kolegium zaczęli przyjeżdżać po naukę z pobliskiego Zakarpacia nawet Madziarzy. W Kolegium uczyło się w tym czasie do 500 uczniów, wszystkich zamieszkujących Pokucie narodowości – głównie Polaków, ale i Niemców, Ormian, Rusinów, Żydów, a także dzieci przesyłanych z Austrii urzędników.

Pod koniec XIX wieku w prowadzonej przez polskich nauczycieli już całkowicie po polsku szkole, i tylko z nauką niemieckiego jako języka obcego, zaczęły narastać patriotyczne nastroje, marzenia o odzyskaniu niepodległości. Pod tym wpływem do gimnazjum garnęło się coraz więcej polskiej młodzieży i w 1907 roku było już ponad 1000 uczniów. Wtedy też rozdzielono szkołę na dwa gimnazja. To właśnie młodzież z tych obu gimnazjów zaczęła wstępować do legalnych, jak „Sokół”, i konspiracyjnych organi-

gen. Józef Bem



zacji, do POW oraz drużyn strzeleckich Piłsudskiego. A potem mnóstwo absolwentów i uczniów poszło do Legionów i walczyło o Polskę. Ogromną rolę w prowadzeniu szkoły przez te trudne lata odegrało dwóch dyrektorów. Franciszek Terlikowski skutecznie chronił uczniów na przełomie wieków przed restrykcjami austriackimi władz i policji, a dr Michał Jezienicki, który został dyrektorem w 1906 roku, przeprowadził szkołę przez cały wojenny czas. Był dyrektorem przez całe 20 lat i stał się głównym organizatorem polskiego szkolnictwa w Stanisławowie.

Przed odzyskaniem niepodległości raz tylko szkołę rozwiązano. Kiedy w grudniu 1918 roku rząd Ludowej Republiki Zachodniej Ukrainy przeniósł się ze Lwowa do Stanisławowa, władze oświatowe wezwały profesorów i nauczycieli do złożenia przysięgi wierności. Wszyscy solidarnie odmówili i musieli odejść. Cała młodzież poszła śladem wychowawców i gimnazjum rozwiązano. Już w maju 1919 roku, z nastaniem Polski, natychmiast wznowiono działalność, ale jeden rok nauczania został stracony. Znaczącym aktem w dziejach szkoły stało się nadanie jej w 1921 roku imienia jednego z jego bohaterskich uczniów Mieczysława Romanowskiego.

Dziesiątki stanisławowskich uczniów, wbrew surowym zakazom austriackich władz, brało udział w powstaniach. Naprzód w Wiośnie Ludów na Węgrzech, w szeregach polskich legionów i siedmiogrodzkiej armii generała Józefa Bema, a potem – przekradając się przez mocno strzeżoną granicę do rosyjskiego zaboru – w powstaniu styczniowym 1863 roku. Romanowski zapisał się wszakże najpiękniej zarówno swoimi wierszami, jak i bohaterską śmiercią. Mieczysław Jan Julian Romanowski urodził się w 1833 roku w Żukowie na Pokuciu, w zubożałej szlacheckiej rodzinie. Miał 11



lat, kiedy zaczął chodzić do szkoły w Stanisławowie i najlepiej, bo na najlepszy stopień „eminent” uczył się historii i geografii. Wprowadzonego po raz pierwszy przez oświatowe władze austriackie po ośmiu latach nauki egzaminu dojrzałości jednak nie zdał. Utracono go na egzaminie z fizyki, raczej za krnąbrność, za pisywane już w szkolnej ławie patriotyczne wiersze, niż za brak wiedzy. A chyba głównie za to, że mając zaledwie 15 lat zorganizował w roku 1848 grupę uczniów, z którymi chciał przedostać się na Węgry, by tam wspomóc powstanie. I tylko zbiegiem okoliczności powstrzymali ich nauczyciele. Zrobił więc Romanowski maturę rok później w Kołomyi, by potem do 1857 roku studiować prawo na Uniwersytecie Lwowskim.

Po zakończeniu studiów stał się liczącą postacią Lwowa. Pozostawał pod mocnym wpływem poezji Juliusza Słowackiego, pisał patriotyczne wiersze, zadebiutował jako poeta na łamach „Nowin” oraz „Wiadomości Literackich” i został pracownikiem Ossolineum. Współpracował z wychodzącym we Lwowie pismem dla ludu „Dzwonek”, prowadził działalność oświatową wśród młodzieży rzemieślniczej, I konspirował. Nawiązał kontakt z działającym w Warszawie trójzaborowym Komitetem Centralnym Narodowym i w 1862 roku stanął na czele miejscowej Ławy, czyli został przywódcą powstańczych przygotowań we Lwowie. Z chwilą wybuchu powstania, już 1 lutego, usiłował przedostać się przez granicę, ale został aresztowany przez Austriaków i przewieziony do więzienia we Lwowie. Tak się jednak złożyło, że komisarzem policji we Lwowie był jego kolega ze szkolnej ławy w Stanisławowie, Ferdynand Meidinger. I to on przyczynił się do uwolnienia Romanowskiego, któremu w marcu udało się przedostać do powstańców. Za wszelką cenę chciał walczyć. Przyjęto go do działającego na Roztoczu oddziału M. Borelowskiego. Został jego adiutantem, ale szybko zginął bohaterską śmiercią 24 kwietnia 1863 w jednej z pierwszych bitew stoczonych przez ten oddział pod Józefowem w Lubelskiem.

Romanowski nie był jedyną wybitną postacią stanisławowskiego gimnazjum. Uczył się w nim urodzony w odległym o 40 km od Stanisławowa Hołoskowie, pod Otynią, poe-

ta Franciszek Karpiński, autor słynnej pieśni *Kiedy ranne wstają zorze* i kołędy *Bóg się rodzi*. Przyszli wybitni politycy, twórcy ruchu socjalistycznego w Polsce – bracia Ignacy i Feliks Daszyńscy, właśnie w stanisławowskiej szkole zaczęli głosić hasła równości i organizować tajne schadzki. Za co mimo celujących postępów w nauce w 1882 roku wykluczono ich ze szkoły. To w I gimnazjum uczyła się cała stanisławowska inteligencja międzywojennego dwudziestolecia z prezydentem Wacławem Chowańcem i jego braćmi, wspaniałym dowódcą generał Stanisław Sosabowski, a także jeden z wielkich i niestety zapomnianych bohaterów wojny z bolszewikami, Bolesław Zajączkowski. To on 17 sierpnia 1920 roku dowodził słynną obroną Zadwórze, nazwanego polskimi Termopilami. Liczący 300 żołnierzy oddział powstrzymał wtedy natarcie konnej armii Budionnego na Lwów. W całodziennym boju zginęli wszyscy broniący kolejowej stacji w Zadwórze Polacy, a ci, którzy przetrwali do ostatniego naboju, bo zabrakło amunicji, z Zajączkowskim na czele, odebrali sobie życie. Taką cenę zapłacono za powstrzymanie natarcia konnej armii Budionnego, co miało ogromne strategiczne znaczenie dla losów wojny.

Zaraz po odzyskaniu niepodległości, w ramach rozwoju szkolnictwa, powstało trzecie z kolei męskie gimnazjum w centrum miasta, przy ulicy Sapieżyńskiej, które zaczęło rywalizować z jeźdzynką. To w tym gimnazjum uczył się, urodzony w Gwoźdźcu, a więc na Pokuciu, Jerzy Kawalerowicz. Rok mu brakował do zdania matury, kiedy zaczęła się wojna. Ale to w Stanisławowie zafascynował się filmem. Ojciec jednego ze szkolnych przyjaciół był właścicielem dwóch

Franciszek Karpiński



Bolesław Zajączkowski



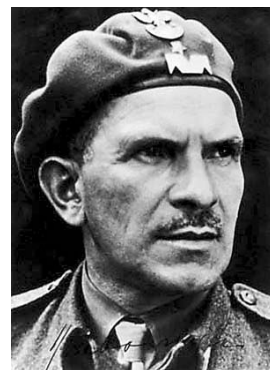
kin, w tym najlepszego w mieście kina „Ton”. I nie było filmu, którego Kawalerowicz by nie obejrzał. Tak się też złożyło, że jednym z pierwszych w życiu, jeszcze niemych filmów, który Kawalerowicz zobaczył, było *Quo vadis*. Stało się to w 1935 roku w Kołomyi w kinie „Mars” i zapadło Kawalerowiczowi w pamięć na całe reżyzerskie życie.

Jak również żydowski świat chasydów Gwoźdźca, a potem Stanisławowa. W dodatku wyrastał w polskiej rodzinie, która miała absolutny kontakt z wszystkimi zamieszkującymi Pokucie narodowościami. Ojciec Jerzego był kierownikiem poczty w Gwoźdźcu i mówił wszystkimi językami okolicy, nie tylko jidysz, ale i po ormiańsku, bo Kawalerowiczowie mieli również ormiańskie korzenie. I obejrzany w Kołomyi film, a także żydowski klimat miast, w których się uczył i mieszkał, legły niejako u podstaw jego dążeń i wyreżyserowanych po latach przez niego filmów. Przede wszystkim *Austerii*, ale i finalnego w jego życiu *Quo vadis*, o czym zresztą opowiedział w wywiadzie-rzecz *Nie powtarzałem siebie*, spisany przez Waldemara Chrostowskiego i Mirosława Słowińskiego. W tym stanisławowskim wątku Kawalerowicza jest też pewien osobisty styk, gdyż w czasie niemieckiej okupacji mój ojciec zdecydował się na wycięcie niezwykle groźnego karkunku na karku. Rodzice Kawalerowicza przyjaźnili się z nami i zapamiętałem, jak przywieźli prawie nieprzytomnego i strasznie opuchniętego 19-letniego wówczas chłopca prosto do lekarskiego gabinetu mego ojca, który natychmiast go zoperował.

Cały polski system oświaty legł w gruzach we wrześniu 1939 roku po wkroczeniu Sowieców. Wprowadzili swoją 11-latkę i zlikwidowali szereg szkół, w tym wszystkie prywatne. Przestała istnieć moja ćwiczeniówka przy Seminarium Nauczycielskim na placu Trynidackim, w której ukończyłem trzecią klasę polskiej szkoły powszechnej. I o dziwo poszedłem znowu do trzeciej klasy szkoły średniej, czyli radzieckiej jedenastolatki, bo o cofnięciu polskich uczniów o jedną klasę wstecz zadecydował Narodny Komisariat Oswity Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Była to szkoła nr 6, ulokowana właśnie w słynnym Kolegium. Z czego byłem niesłychanie dumny, choć z przedwojennego gim-

nazjum zostały tam tylko ławki i tablice. Oraz niesłychanie groźny pan tercjan, bo tak za polskich czasów nazywano gospodarza – woźnego szkoły. Był nim pan Stanisław Gaśior, były legionista, ojciec naszego szkolnego kolegi – najwyższego w naszej klasie i ogólnie lubianego Leona. Mieliśmy w szkole dawnych, polskich nauczycieli, ale też kilku radzieckich oraz komsomolorgów. Chodzili oni po klasach, czujnie węszyli, prowadzili obowiązkowe zajęcia o marksizmie i nakłaniali do wstąpienia do organizacji noszących czerwone chusty pionierów, do których nie chcieliśmy należeć.

Ateny Pokucia ostatecznie skończyły się w sierpniu 1941 roku z przejściem władzy przez Niemców i wkroczeniem gestapo. Z miejsca aresztowano i rozstrzelano ponad 200 polskich nauczycieli, ponad 80 procent całego stanu. Wśród nich większość profesorów jedyńki z dyrektorem Franciszkiem Junem oraz katechetą księdzem dr. Julianem Tokarskim na czele. Z mnogości szkół zostawiono dla polskiej ludności tylko dwie 7-klasowe szkoły powszechne i jedną 4-klasową. Nauka nie była przecież potrzebna przyszłym niewolnikom. Nawet języka niemieckiego w programie nie było. Tyle tylko, że jedną z tych dwóch polskich szkół pozostawiono nadal w słynnym za polskich czasów budynku Kolegium. I jeszcze dwa lata do niej chodziłem. Ale nie było już naszych dawnych nauczycieli ani tercjana Gaśiora. Niemcy aresztowali go i rozstrzelali razem z naszymi nauczycielami. Nie tylko w mojej, ale i we wszystkich klasach było teraz po 60–70 uczniów. O nauce mowy nie było, zwłaszcza że co chwila pojawiali się zupełnie nowi, całkiem obcy chłopcy, którzy po kilku tygodniach przestawali przychodzić. W taki sposób ukończyłem jeszcze klasę 5 i 6. Siódmej już nie, bo jesienią udało się nam uciec na Węgry, co szczegółowo opisałem w mojej pierwszej książce *Kresy Kresów, Stanisławów*.



gen. Stanisław Sosabowski

O moim Oporze



Widok ze Storożki

Kiedy czytałam jeden z artykułów w poprzednim numerze ukochanego pisma „Cracovia–Leopolis”, moją uwagę zwrócił mały lapsus. Była w nim bowiem mowa o moich stronach rodzinnych, ale z pominięciem prawdziwej nazwy rzeki – Oporu, z którą

wiążą się najszcześniejsze lata mojego życia. A więc chwytam za pióro, słysząc szum niepowtarzalny i widząc oczyma duszy spienione nurty pędzące po skałach.

Opór bierze swój początek u stóp Jawornika Wielkiego (1123 m, Bieszczady

Wschodnie) i płynie w kierunku północno-wschodnim przecinając w poprzek Bieszczady ostrą doliną. Dalej toczy swe wody wśród stromych zboczy i stoków, wskutek czego krajobraz nabiera niezwyklej malowniczości. Wkrótce koło Synowódzka Wyżnego łączy się ze Stryjem.

Rzeka Opór jest zasilana od wschodu potokami: Sławką, Różanką, Libochorką, Zelemianką, Kamionką, a od zachodu Hołowczanką oraz Orawą z Butywną. Miejscami tworzy szerokie kotliny, w których powstały większe osiedla. Przełom Oporu, między Skolem a Dębiną, znajduje się na tzw. Kłódce. Idąc z północy na południe doliną Oporu, począwszy od Kłódki, spotykamy następujące miejscowości: miasteczko Skole z osadą Demnia Wyżna, Hrebenów, Tuchla, a nad dopływem Oporu Libochorką – wieś Libochora. W kierunku południowo-wschodnim nad dopływem Różanką leżą wsie Różanka Niżna i Wyżna. U spływu rzeki Sławki nad Oporem leży wieś Sławsko, ze słynnymi terenami narciarskimi (dlatego przed wojną kursował tu ze Lwowa ekspres „Narty-Bridż”).

Za przełomem Oporu między Orszowcem (1144 m) a Ilzą (1066 m) w kierunku południowym leżą wsie: Tarnawka, Ławoczne i wieś graniczna Oporzec.

Tyle zasadniczych wiadomości na temat rzeki, której nazwa wywołuje u mnie lawinę wspomnień. Wszystkie przedwojenne wakacje spędzaliśmy nad Oporem lub na górskich wycieczkach: na Paraszkę (1271 m), Bukowiec (1188 m), Zelemin (1177 m), Łopatę (1211 m). Również obowiązkowa była każdego roku wyprawa do Bubniszcz koło Synowódzka, słynących z potężnych bloków skalnych z wyżłobionymi grotami, w których dawniej mieli mieszkać zbójnicy z Doboszem na czele. Wszystkie te urokliwe miejsca opisuje w swoich wspomnieniach sławna lwowska poetka Maryla Wolska. – Tu trzeba przypomnieć, że to właśnie jej rodzice: Wanda z domu Monné (muza Grottgera) i jej mąż Karol Młodnicki, malarz, wybrali właśnie to miejsce w Skolem nad Oporem koło Kłódki, aby wybudować letnią willę Storożkę. Zjeżdżała tu na wakacje prócz ich rodziny – elita artystyczna i naukowa ze Lwowa, sławiąc swoimi utworami piękno tej okolicy.

Córka Maryli Wolskiej, Beata Obertyńska, również poetka, urodzona na Storożce, aresztowana w czasie okupacji sowieckiej, przeszła całą gehennę wywozu i wleczona przez różne katownie archipelagu zła znalazła się w końcu na Kółymie. Tu padła na ziemię w krańcowym wycieńczeniu, i gdy życie z niej prawie uchodziło... usłyszała szum Oporu. Uwieczniła to w swojej genialnej książce *W domu niewoli*.

Opór był rzeką górską o krystalicznie czystej wodzie, która tworzyła liczne wodospady. Posiadała również miejsca spokojniejsze i głębsze, nadające się do pływania. W Skolem było takie miejsce pod tzw. *skalą*, z której co odważniejsza młodzież skakała z dość dużej wysokości. Ja z moim bratem nauczyliśmy się pływać w Oporze, z uporem objając się o wszechobecne ostre kamienie.

Moje ostatnie „osobiste” spotkanie z ukochaną rzeką miało przebieg nadzwyczaj dramatyczny. Było to w sierpniu 1944 roku w czasie zagłady Skolego i wywożenia nas z linii frontu niemiecko-sowieckiego w stronę Węgier, na bombach w transporcie amunicji niemieckiej. Wtedy gdy transport zatrzymał się na chwilę na Świętosławiu tuż za Skolem, a z armaty niemieckiej stojącej pod kamieniołomem po drugiej stronie rzeki przelatowały nad nami pociski w stronę sowietów, wyskoczyłam z wagonu i rzuciłam się w nurty Oporu. Pamiętam to cudowne uczucie, które zostało niestety brutalnie przerwane. Mianowicie ruska odpowiedź na niemieckie strzelanie nastąpiła dość szybko i do rzeki wpadł pocisk artyleryjski. W powietrze wyleciały kaskady wody i kamieni, a ja ślizgając się i przewracając po śliskich skałach pędem musiałam wrócić do wagonów. Takie było moje pożegnanie z Oporem.

Nasza przymusowa ewakuacja ze Skolego skończyła się wbrew naszym przypuszczeniom nie na Węgrzech, lecz w Niemczech, a następną rzeką, w której nurty rzuciłam się i przepłynęłam, był Ren. Ale to już całkiem inna historia.

Pani Profesor Zofia Dudrówna pochodzi ze Skolego – Jej Ojciec był burmistrzem tej uroczej miejscowości. O rodzinie Dudrów pisaliśmy w CL 1/02 i 1/03.



Tadeusz Chciuk-Celt
(1916–2001 Monachium)

Miasto zawsze wierne

Miasto zawsze wierne, jedno na tym
świecie,
Los nam chce odebrać Ciebie.
Z piersi chyba wyrwie, boś Ty
w sercach przecie,
Jako Bóg na niebie.

Tyle grodów pięknych, co w pustyni
piasku,
Paryż, San Francisco, Rio,
Wiedeń, Rzym...
Zza mgły łez nie dojrzą ich
światnego blasku,

To przy Tobie zwienny dym.
Lwy kamienne widzę, ach, w ratuszu
brama,
Pałac – Czarna Kamienica,
Buda ponad Pesztem – toć Wysoki
Zamek,
Kościół – Boimów Kaplica.

Orlą Twych był druhem Żołnierz
nasz Nieznany,
Dziś Stolicy strzec mu trzeba,
Kwietny krzyż przy Jego grobie
układamy
Z Polski – aż do nieba.



Feliks Konarski „Ref-Ren”
(1907–1991 Chicago)

Nasze trzy troski

Od lat jakże długich i trudnych
Wciąż ta sama w sercu troska:
Że tam gdzieś – zostały trzy ziemie –
Wileńska, Wołyńska i Lwowska.
Jak w nowych Księgach
Pielgrzymstwa
Genezie naszego tułactwa,
Trzy ziemie. Trzy ofiary
Największego w świecie łajdactwa.
Miasta da się przemienić, przestawić.
Można z każdą rozprawić się wioską,
Ale ziemia wciąż ziemią zostanie,
Tą Wileńską, Wołyńską i Lwowską.

Maria Obercowa

Z GAZETKAMI PRZEZ MIASTO*

Mijam Plac Dominikański – i nie wiem gdzie właściwie był (a przecież na pewno blisko kościoła) mały sklepik papierniczy ... po prostu go widzę, choć nie mogę trafić ... wchodzę po nakład naszych gazetek (nie mam pojęcia, czy to była „Walka”, czy „Biuletyn Ziemi Czerwieńskiej”, chociaż „Biuletyn...” to chyba nie, bo wtedy nie byłam w AK, tylko w jakiejś konfederacji, a jakiej to też nie wiem, a że były dwie – to dopiero uświadomił mi Jerzy Węgierski (kiedy przyszedł mnie nagrywać) ... redaktorem naczelnym był Stanisław Wasylewski – ten od *Marysieńki Sobieskiej*, *Na dworze króla Stasia* itd. ... jakim cudem – ja, dziewczę nieletnie, zostałam jego łączniczką i kolporterką – też nie wiem ... nie pamiętam też gdzie mieściła się ta gadzinówka niemiecka, w której redaktorem był Wasylewski, z powodu czego po wojnie był sądzony za kolaborację z Niemcami, natomiast wyraźny obraz pokoju redakcyjnego, do którego wchodziłam: biuro, kanapka brązową ceratą obszyta ... Wasylewski zamyka za mną drzwi, otwiera kanapkę i ładuje do mojej torby zawartość kanapki – te gazetki, których nigdy nie czytałam, bo były przeznaczone dla starszych panów, o których w cichości ducha myślałam lekceważąco, o mojej robocie zresztą też, marzyłam o broni ... bo tylko ona wydawała mi się ważna ...

A sklepik koło Dominikanów? ... jeden z naszych punktów ... pani zdenerwowana: *Proszę brać wszystko! Tajniacy się kręcą!*

No cóż? Trzeba było mieć tych naście lat ... żeby wziąć dwie ciężkie jak cholera walizy i powlec (dosłownie – powlec się po ulicy) aż na górny Łyczaków – do tramwaju nie można było wsiąść, taki rozkaz – a tam w drzwiach nieświadoma niczego kobieta (męża „konspiratora” nie ma w domu) ... otwiera jedną z waliz i wrzask: „Zabieraj to z powrotem, bo jak nie, to wezwę gestapo!” Beznadziejna wędrówka nie wiadomo dokąd ... by wreszcie stanąć u drzwi mego domu ... i tak skończyła się dla mnie Konfederacja,

a zaczęła Armia Krajowa, w której dawno moja rodzina była ... kryjąc się przede mną, nieświadoma tego, że przed taką smarkatą nic się nie ukryje ...

A Wasylewski – nieszczęsny „kolaborant” – po wyjściu z Montelupich zaraz umarł na zawał serca ... niezrehabilitowany!** Ileż namiętnych dyskusji przeprowadziłam z prof. Izydorą Dąbską, która uparcie twierdziła, że żadna konspiracja go nie usprawiedliwia, że człowiek o takim nazwisku nie powinien był firmować gadzinówki niemieckiej ... no ... nie wiem ... bo jak wobec tego oceniać np. Bogdana Rogolińskiego, który będąc w wywiadzie akowskim był jednocześnie (oczywiście z rozkazu AK) na służbie w Kripo? Jak oceniać Bronkę Marszałek – gestapowską strażniczkę na „Łąckim” również z rozkazu AK, zmarłą w Sosnowcu – bez rehabilitacji – bo wolała umierać jako gestapówka niż na torturach ubeckich podać bodaj jedno nazwisko? ... a że to nie takie nazwiska jak nazwisko znanego pisarza polskiego? Przecież on chyba także nie sam zdecydował się na tę podwójną grę?

Legionów, Aleje Akademickie, pomnik Mickiewicza – pod którym akademicy palili kiedyś ogromne kłody drzewa czy kłocę – bo tak nazywał się ówczesny wojewoda Kloc! Tu wyśpiewywali pod adresem ówczesnego starosty Klimowa:

*Hej z Klimowem na latarnię, na latarnię,
na latarnię!*

*Niech ta szuja zginie marnie, zginie marnie,
hej! zginie marnie!*

Obu tych panów znałam, bo byli to znajomi mego ojca, z tym że nie miałam pojęcia, jakim człowiekiem był na przykład Kloc, natomiast okazuje się, że Klimowa chyba nosem wyczuli studenci, bo po wojnie – już jako Klimowiecki – stał się w Warszawie ubeckim prokuratorem! Ciekawe, co się stało z jego synem Januszem, bo w okresie okupacji niemieckiej ukrywał się u pułkownikowej Świejkowskiej ... ten domek był niesłychanie pojemny: mój szef akowski Henryk Koziański „Narocz”, „Florian” (pewnie dlatego, że on „Narocz”, to ja „Świtezianka”?), Janusz Klimow i jeszcze dwóch tak samo smarkatych jak on partyzantów z Przemyśla, Julek Chudy (to ten, którego ciągle widzę, jak po strzale usuwa się

bezwładnie w pokrzywy po drugiej stronie płotu ... i jeszcze tylko przez moment jego ręka ... (a kto to mi mówił, że jego matka jeszcze żyje w Gliwicach czy w Bytomiu?) ... i pięciu Francuzów, którzy nie umiając ani słowa po polsku, biegli w biały dzień po ucieczce z Cytadeli w mundurach z Kriegsgefangene na plecach, by znaleźć się nie wiadomo jakim cudem właśnie tu!

Krzyżyk z czarnego więziennego chleba, przepięknie inkrustowany z obu stron słomą – z jednej Orzeł w koronie, z drugiej serce – wciśnięty w moją rękę na więziennym podwórzu, gdy prowadzono mnie na przesłuchanie, przez jednego z nich (na imię miał Artur), trzymany w zaciśniętej dłoni przez ileś tam godzin, wysłany potem grysem do miasta, przywieziony po wielu wielu latach przez kogoś (nie pamiętam kogo) do Krakowa ... ten krzyżyk jest w biurku w krakowskim mieszkaniu, a co się stało z Arturem?

Akademicka – ileż wspomnień na każdym kroku ... To tu w najmniej odpowiedniej chwili (właśnie ze Staszkiem Szczękiem i Leszkiem Sawickim, którzy odprowadzali mnie po lekcjach z sowieckiej ośmiolki do domu, trzeba przyznać dość okrężną drogą, dyskutowaliśmy niezwykle poważnie na temat Schopenhauera) gumka w jedwabnych figach pękła i moje różowe majtki spłynęły na chodnik tuż przy cukierni Zalewskiego ... zamarłam ... ale Staszek warknął: „pozbie-
raj toto w jakiejś bramie”, tylko że na Akademickiej żadnych bram, tylko eleganckie witraży eleganckich salonów ...

A na obraz spadających majtek i bezradnego zawstyżenia już nasuwa się inny, a przedział czasowy w tę czy w tamtą stronę nic nie znaczy, ... idę z ważnymi rozkazami likwidacji gestapowskich donosicieli, których to rozkazów nie doręczyłam na 29 Listopada, bo nikt nie zareagował na pukanie, a głowę mam – jak zwykle – w chmurach ... i machinalnie podchodzę do zupełnie obcego mężczyzny wśród tłumu innych ... wyciągam z torebki kopertę z wyrokami i podaję mu ją ... i tak jak wtedy drętwieję ze strachu ... jakby to było teraz ... jakby nie minęły te wszystkie lata ... on patrzy na mnie nie pojmując ... chcę cofnąć rękę ... wisi w powietrzu ... ale on ... do dzisiaj pojąć nie mogę ... bo przecież to był on, ten, któremu miałam oddać kopertę, a które-

go przedtem nigdy nie widziałam, i którego rysopisu nikt mi nie podawał ...

Ogród Jezuicki ... przysiadam na ławeczce, ale tak, żeby nie zasłaniał Uniwersytetu Jana Kazimierza ten jakiś cholerny kolos kamienny wyobrażający nie wiadomo kogo ... ale i na frontonie uniwersytetu czerwona gwiazda i sierpy młoty. Czyli nic się nie zmieniło. Znowu są! ... A wtedy uciekali! ... Niemców nie było jeszcze, ale kule świsłały między drzewami ... biegłam przez ogród chyba z Zośką Neugebauer ... usiłowałyśmy dotrzeć do więzienia przy Łąckiego, bo wieść się rozeszła po Lwowie, że otwierają bramy więzienne ... tłum ludzi ... wpadamy do jakiejś bramy, a siwy pan dziwi się – patrząc na nas, że rodzice wypuścili takie dzieci ... a dzieci to niby my, też coś!

Nie jesteśmy przestraszone, raczej podniecone, bo nareszcie coś się dzieje, bo kałmuki uciekają ... jeszcze nie wiemy, co za chwilę zobaczymy na Łąckim ...

* Wykorzystano fragment rozdziału „Legionów, Akademicka” z książki *Z wycieczką do Lwowa? Z wycieczką do mego domu?* Kraków 1996

** Stanisław Wasylewski został zrehabilitowany przez sąd w 1946 roku.



MARIA OBERCOWA, z d. BOJKO (1925 Lwów – 2007 Kraków); polonistka, pisarka, żołnierz Armii Krajowej we Lwowie, więziona na ul. Łąckiego. Uczestniczka Powstania Warszawskiego, więźniarka w obozie jenieckim w Brandenburgu. Po wojnie w Krakowie, nauczycielka w liceach.

Tadeusz Krzyżewski

BOGACZ SERCA

Wspomnienie o Henryku Zbierchowskim w 70-lecie śmierci*

Należał do najbardziej znanych postaci na lwowskim bruku. Już samym wyglądem zewnętrznym zwracał uwagę i mile uosabiał tych nielicznych nieznaną go z widzenia mieszkańców naszego miasta. Zawsze w aksamitnej kurtce, w czarnym fantazyjnym krawacie, które doskonale tonowały się z długim, rozwianym włosom i rasową fizjonomią właściciela.

Ubiór duchowy miał też zawsze jednaki: pogodę ducha i uśmiech, nieugięty optymizm. Z lekkim, na wszystko przygotowanym sarkazmem i łagodną melancholią wychodził Zbierchowski na spotkanie każdej, choćby cięższej trudności w życiu. Zrósł się ze swoim grodem ojczystym jak rzadko kto:

*Pisarz tak lwowski,
Że dość mu trzech słów:
Lwów to Zbierchowski,
Zbierchowski – to Lwów!*

Już stary Plato mawiał, że początkiem filozofii jest podziw, początkiem poezji zaś jest zawsze tęsknota. Ale Henio Zbierchowski czerpał jeszcze i z trzeciego źródła, jakim była jego nigdy nie gasnąca miłość do rodzinnego miasta. – *A ja się ze Lwowa nie ruszę na krok ...* – to on właśnie był wcieleniem tej popularnej piosenki lwowskiej, sam w tej piosence rozmiłowany, sam majster znakomity rymów tak wdzięcznych, tak misternie wiązanych, że począć się mogły tylko z miłości i nigdy nie ukojonej tęsknoty, płynącej z serca na wskroś dobrego.

*Kwitnienie kwiatów, złotych gwiazd szczęśliwość
Są dla mnie źródłem wiecznie nowych zdumień,
Krzywd nie pamiętam, a ludzka złośliwość jak po
głazach strumień.*

*Zawsze się czuję dotknięty niemiłe,
Gdy w oczach czyichś ujrzę ślady też.
Jeśli się gniewam, to tylko przez chwilę,
Gdy kogoś Kocham – to po życia kres...*

pisał w jednym ze swych niezliczonych wierszy, które hojnie rozsiewał na łamach lwowskich i pozalwowskich gazet pod pseu-

donimem „Nemo”. Niezwykle powołanie miały te zręczne i krótkie, jakąś aktualność dnia omawiające wiersze. Mile wpadały w ucho przy śniadaniu jak dźwięk porannej sygnaturki.

Po ukończeniu wydziału prawnego na Uniwersytecie Lwowskim otwierała się przed tym zdolnym młodzieńcem (urodził się w 1881 roku) świetna kariera urzędnicza. Ale Zbierchowski zlekceważył świadomie wysiłek wspina się po szczeblach tej kariery, choćby do wyżyn złotego kołnierza. Wybrał drogę inną, do której od najmłodszych lat czuł pociąg i zapal. Oddał się literaturze i sztuce. Młodość Zbierchowskiego przypadła na czas wielkiego ożywienia artystycznego i kulturalnego. Towarzysz i rówieśnik Leopolda Staffa, Kornela Makuszyńskiego i Kazimierza Sichulskiego, dał poznać bardzo wcześnie swoje możliwości twórcze. Zasłynął jako jeden z reprezentacyjnych poetów lirycznych w okresie Młodej Polski. Już jako młody studentik oglądał z dumą swe wiersze w krakowskim „Życiu”, redagowanym przez S. Przybyszewskiego i Wyspiańskiego. W gimnazjum jeszcze wziął nagrodę na jakimś pozalwowskim konkursie teatralnym. I wtedy zdecydował się, że zostanie pisarzem i poetą. Uznał, że muzyka – a miał do niej wielki wrodzony talent – służyć będzie tylko jako akompaniament do rytmu poecie, który swój imponujący i uświetniony w ciągu lat kunszt władania mową wiążaną oddał w całości na siew uśmiechu, optymizmu i dobrej myśli wśród szerokich sfer czytelników.

Nie brakło humoru i dowcipu temu lwowskiemu poecie, który sam urodzony i wychowany na wysokościach Kaiserwaldu, zamieszkał w starej willi przy ul. Piaskowej 15 i tam – pod tchnieniem muz tyczakowskich – układał dowcipne piosenki i cięte satyry polityczne, którymi przez szereg lat zabawiał rodaków czy to na łamach słynnego w latach 1918–1928 „Szczutka”, czy w teatralnych marionetkach, których zawsze był duszą.



Henryk Zbierchowski
w karykaturze K. Sichulskiego



Leopold Staff



Kazimierz Sichulski



Kornel Makuszyński

Największą popularnością cieszył się przywieziony przez Henia z Paryża *Walc nocny* (*La Valse Bru-ne*), którego melodia i słowa pozostały do dziś w pamięci starszych czytelników: – *Hej, gdy noc zapada i światła latarń zapłoną, do naszych serc zakrada się jakaś tajemna moc ...*

Jeżeli był Henio długowłose ostatnim poetą lwowskim z prawdziwego zdarzenia – to był równie ostatnim już przedstawicielem cyganerii lwowskiej, wychowanej w atmosferze dawnej kawiarni Sznajdra, w „Piekietku” lub u Naftuły. I jemu też – co królować lubiał przy kielichu wina, z ręką na klawiaturze fortepianu i nieodłącznym papierosem w ustach – przypada głównie zasługa stworzenia w dobie międzywojennej ośrodka, któremu zbyt pospolicą

nadano nazwę knajpy artystycznej Atlasa. – Bo był przecie taki czas, że Wysoki Zamek, Panorama Raclawicka i Knajpa Literacka w Rynku, jemu zawdzięczająca swą popularność – były najważniejszymi pozycjami w lwowskim baedekerze! Niejeden zakwitł tam talent literacki, niejeden także ołówek karykaturzysty nabrał ostrości w tej beztroskiej atmosferze zbratania wszystkich z wszystkimi, bez różnicy wieku i pochodzenia. Wesoła Fala radiotów lwowskich to w prostej linii spadkobierczyni tego bogactwa typów i pomysłów, które przewinięły się przez Heniowe królestwo.

A przy tym równie czynny był Zbierchowski na innych polach literatury: dwadzieścia tomów powieści, nowel, zbiorów poezji i utworów scenicznych – to zaiste pięk-

ny dorobek żywota, ukoronowanego Nagrodą Literacką Miasta Lwowa. Oglądał w swoim czasie Lwów całą doskonałą komedię światek dziecięcy zachwycał się *Przygodami Tomcia Palucha*, w których poeta wyśpiewał prawdziwy hymn na cześć matczynego serca. Pozostały po nim także patriotyczne sztuki *Zawsze wierny* i *Orleńta*.

Czy dziwić się można, że przy tych wszystkich zainteresowaniach autorskich Zbierchowski-poeta znajdował się czasem w kolizji ze Zbierchowskim-radcą skarbowym i że nieraz zamiast wzorowego urzędnika zastać można było w biurze jeno parasol i beżpańsko porzuconą pelerynę poetycką?!...

Ale, że radca Henio słońce miał w herbie i serdeczny uśmiech na twarzy, kochali go wszyscy i wzajemnie cieszyli się jego poetycką sympatią. Od dni dziecięcych aż po siwy włos niezmiennie wierny Lwowowi i jego ludziom, oddalał się od jego murów na tyle tylko, co kwoka od swych piskląt celem zaczerpnięcia w płuć szerszego oddechu.

Aż dopiero wojenne burze poderwały jego niespożyte siły i kazały mu z dala od Lwowa – w Krynicy strawić ostatnie dni. Żona jego, znana we Lwowie śpiewaczka, p. Zadora-Zbierchowska, prowadziła tam w czasie II wojny pensjonat. Tam też zmarł 6 XI 1942 roku. Do końca jednak pozostał wierny swej twórczej tęsknocie za miastem rodzinnym i odszedł z tym obrazem w oczach, który przyświecał mu w całej pracy poetyckiej i który też położył na czele swego ostatniego zbioru poezji pt. *Ogród życia*:

*Więc jeśli kiedyś na gwiazd pójde połów
I zamknie moje znużone powieki
Śmierć – swoją dłonią tak zimną jak ołów,
Jeszcze zobaczę, jak obraz daleki,
Te białe wieże twych cudnych kościołów,*

*Jak wynurzają się z oparów rzeki,
Jako się pławią w wieczornej godzinie
W bładym, przeczystym niebios seledynie...
Kocham Cię Lwowie!*

* Notka T. Krzyżewskiego: *Mój artykuł wspomnieniowy o H. Zbierchowskim* (zm. 6 XI 1942 w Krynicy), napisany na zlecenie red. Stan. Wasylewskiego, ukazał się w „Gazecie Lwowskiej” 31 grudnia 1942.

SYLWETKI

WACŁAW GABERLE

(Lwów 1934 – Kraków 2011)

5 października '11 zmarł niespodziewanie Wacław Gaberle. Wraz z nim odeszła część historii polskiego Lwowa, część pamięci o minionych czasach polskich kresów.

RODZINA GABERLE

Pierwsi przedstawiciele rodziny przybyli do Polski z terenu Austrii pod koniec wieku XVIII. Byli urzędnikami. Los związał ich ze Lwowem oraz terenami Galicji. Pochodząc z Austrii prędko przyswoili sobie kulturę nowej ojczyzny. O tempie, z jakim rodzina przenikała polskością, świadczy fakt, iż już w 1867 r. Ernest Gaberle, wnuk przybyłego do Polski Eustachego, doktor praw i adwokat, uzyskał tytuł honorowego obywatela Jarosławia jako osoba zasłużona dla tamtejszego samorządu.

Na teren Polski przybył zatem jako pierwszy Eustachy Gaberle, urzędnik austriacki. Jego syn, Franciszek, urzędnik poczty (ck kontroler poczty) był ojcem wspomnianego Ernesta. Emil Gaberle, syn Ernesta, wcześniej radny Miasta Lwowa, był dyrektorem Poczty i Telegrafu w Bośni i Hercegowinie, hofratem na dworze Franciszka Józefa, naczynym świadkiem zamachu na arcyksięcia Ferdynanda. Jako ceniony fachowiec, po rozpadzie Austro-Węgier otrzymał propozycję powrotu na teren nowo powstałej ówczesnej Jugosławii, z której jednak nie skorzystał, ostatnie swe lata spędzając we Lwowie u boku żony Wilhelminy. Pochowany został w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim, obok leżących nieopodal innych zmarłych członków swej rodziny.

Emil Gaberle był ojcem dwóch synów: Eustachego i Kazimierza. Kazimierz, oficer, specjalista od spraw łączności, zasłużył się w czasie II wojny światowej jako członek Resistance. Zmarł po wojnie w Lyonie.

W tym miejscu historia rodzinna dociera do Eustachego Gaberle młodszego, ojca Wacława Gaberlego. Eustachy Gaberle był gruntownie wykształconym w Wiedniu bi-

bliotekarzem, pracownikiem i późniejszym dyrektorem Biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego, uniwersyteckim lektorem języka niemieckiego. Zonaty z Zofią Strzelecką, miał dwóch synów: Wacława i Andrzeja. Wybuch II wojny światowej zastał Eustachego Gaberlego wraz z rodziną we Lwowie. Po wkroczeniu wojsk radzieckich stracił pracę w bibliotece, za „drugich sowietów” został wywieziony do zagłębia w Donbasie. Ciężki okres okupacji jego żona z dwójką dzieci zdołała przetrwać, robiąc na sprzedaż cukierki z masy karmelowej.

Koniec wojny, tak jak w przypadku większości polskich rodzin ze Lwowa, nie był końcem problemów. Eustachy Gaberle wrócił co prawda do swej ukochanej pracy w bibliotece, lecz już w 1946 roku rodzina zmuszona była miasto opuścić. Życzliwy ukraiński dyrektor biblioteki uniwersyteckiej ostrzegł Eustachego Gaberlego, iż interesuje się nim NKWD. Tak oto, pomimo miłości do swego miasta i niechęci do jego opuszczenia, Gaberle zmuszony został do wyjazdu wraz z rodziną: żoną, dwoma synami oraz matką, do Krakowa. Rodzinę na początku zakwaterowano w hotelu Polonia. Później zamieszkali w budynku Biblioteki Jagiellońskiej. Eustachy Gaberle został jej wicedyrektorem, z perspektywami na habilitację (miał już stopień doktora) oraz objęcie z czasem stanowiska dyrektora. Śmierć w marcu 1947 r. przerwała te nadzieje. Zmarł niespodziewanie jako pierwszy z przybyłej do Krakowa rodziny i pochowany został na Cmentarzu Rakowickim. Serce nie wytrzymało tragicznego okresu okupacji obu najeźdźców, rozstania z biblioteką, opuszczenia ukochanego miasta. Kilka miesięcy później zmarła jego matka. Spoczęła na Cmentarzu Rakowickim obok syna.

Zofia Gaberle zmuszona była zmierzyć się z całą, jakże posępną, powojenną rzeczywistością, wychowując dwóch synów, którzy w chwili śmierci męża mieli 10 i 13 lat. Zmagając się z problemami finansowymi (sama pracowała na skromnym etacie w Bibliotece Jagiellońskiej), miała jednak pewne oparcie w kolegach bibliotekarzach, szczególnie zaś w osobie Stanisława Sierotwińskiego. Była zresztą osobą niepoddającą się przeciwnościom losu, niezwykle życzliwą ludziom, lubianą i cenioną, również jako pracownik biblioteki.

Dwaj bracia: Wacław i Andrzej dorastali w nietrywialnych realiach pookupacyjnej rzeczywistości. Los prostuje jednak w znany sobie sposób ludzkie drogi. Andrzej Gaberle skończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim i był emerytowanym profesorem tej uczelni, związanym również z Krakowską Akademią im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, byłym posłem na Sejm RP*.

WACŁAW GABERLE – WSZECHSTRONNY HUMANISTA, BIBLIOFIL

W roku 1956 ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, pisząc pracę magisterską pod kierunkiem Kazimierza Wyki. Późniejsze jego życie zawodowe związane było przez długie lata z Pracownią Słownika Polszczyzny XVI wieku Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. W wydawanym monumentalnym *Słowniku polszczyzny XVI wieku* znajdują się opracowane hasła jego autorstwa. Równolegle uczestniczył w seminariach prowadzonych przez K. Wykę oraz rozwijał swe zainteresowania historyczne i historyczno-literackie. Problemy zdrowotne spowodowały, iż zmuszony był zaprzestać pracy nad redakcją *Słownika*. Mimo to nie zaniechał działalności publicystycznej, drukując teksty o tematyce literacko-księgarskiej na łamach istniejącego wówczas „Echa Krakowa”. Po swym ojcu odziedziczył zainteresowanie problematyką związaną z księgarstwem, był bibliofilem kochającym książki i znającym się na nich, obdarzonym fenomenalną pamięcią erudyty i wszechstronnym humanistą o ogromnej wiedzy. Zainteresowania księgarskie i antykwaryczne Wacława Gaberlego znalazły swój wyraz w opublikowanych przez niego w 1980 r. *Krakowskich wspominkach antykwarskich i księgarskich* (wydanych nakładem Towarzystwa Przyjaciół Książki, Oddział w Krakowie).

„MOŻE UDA SIĘ, ŻE POWRÓCĘ ZNÓW I ZOBACZĘ MIASTO LWÓW”

Krakowskie życie Wacława Gaberlego nie było w stanie przyćmić wspomnień i pamięci jego rodzinnego miasta, miasta,

w którym spędził dzieciństwo i które opuścić musiał w smutnych powojennych okolicznościach. Żywe były w nim cały czas traumatyczne wspomnienia okupacji, odgłosów wystrzałów, postaci radzieckich i niemieckich żołnierzy. Pozostały w pamięci sceny wojny, dotkliwie trwające pomimo upływu lat. Wojna, okupacja, spędzone w tych realiach dzieciństwo, odcisnęły piętno na wspomnieniach, nie zastaniając jednak malowniczego obrazu przedwojennego, polskiego, ukochanego Lwowa.

Długie lata przygotowywał się do odwiedzin swego miasta. Stały temu na przeszkodzie realia polityczne i osobiste. Wreszcie po 58 latach od opuszczenia Lwowa,

w 2004 roku, zdecydował się na podróż. Natychmiast rozpoznał zapisane w pamięci ulice. Miłość do rodzinnych stron nabrała realnych barw. Miasto opuściło sny i stanęło przed nim w swej współczesnej postaci. Od tego czasu jeździł do Lwowa kilka razy w roku. Ze swej ostatniej podróży powrócił dwa tygodnie przed śmiercią. Utrzymywał kontakt ze szkołą polską oraz polskim przedszkolem, którym starał się pomagać.



Bywał w siedzibie Federacji Organizacji Polskich na U., spotykał się z Polakami zamieszkałymi we Lwowie. W Krakowie często odwiedzał Towarzystwo Miłośników Lwowa, chodził na spotkania Stowarzyszenia Przyjaciół Przemyśla, w którego czasopiśmie „Quod libet” zamieszczane były jego teksty. Za jego staraniem z mroków historii literatury wyłoniła się postać poety lwowskiego Jana Zahradnika.

Ze swoich lwowskich wyjazdów przywoził do Krakowa rozmaite publikacje, czasopisma bądź druki ulotne wydawane przez polskie organizacje i instytucje, które przekazywał w darze do biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności. Jadąc do Lwowa, zabierał ze sobą dziesiątki książek (w tym wydawnictwa PAU) i podręczników, które przekazywał do polskich szkół i Federacji Organizacji Polskich.

Trudne chwile nie zabiły w nim poczucia humoru, które znajdowało wyraz zarówno w życiu codziennym, jak i w pisanych

przez niego, publikowanych i niepublikowanych tekstach. Na spotkaniach towarzyskich wygłaszał wierszowane opowiadania, m.in. o współczesnych przygodach Koziółka Małotka, a także wierszowane komentarze do współczesnych wydarzeń. Był kibicem klubu sportowego „Cracovia”, którego losom towarzyszył od samego przyjazdu ze Lwowa do Krakowa, będąc mu wiernym we wszystkich jego sportowych wznoszeniach i upadkach. Interesując się sportem, potępiał równocześnie zdzierzenie stadionowe i bolał nad degrengoladą współczesnego kibicowania.

Nagła śmierć zabrała spośród nas człowieka dobrego, prawego, niezwykłego, o ogromnej wiedzy i mądrości, które nikomu już nie będą mogły służyć. Odchodząc tak niespodziewanie, pozostawił po sobie smutek najbliższych, napisane przez siebie teksty i serdeczną pamięć znajomych osób. Nigdy już nie odwiedzi swych znajomych krakowskich antykwariatów, ulubionej księgarni PWN przy ul. Piłsudskiego w Krakowie, nigdy nie pojedzie do swojego miasta, które pomimo rozłąki kochał i o którym pisał w ułożonej przez siebie piosence *Moje miasto*:

*Tam niedaleko za Sanem
Otulone parkami, ze stromymi ulicami
Leży piękne miasto moje
Moja troska, mój sen.*

Ref. *Jest piosenka ta lwowska:
Moje miasto, moja troska
Moje miasto za kordonem
Moja troska i myśl.*

*Pod Wysokim Zamkiem
Rozłożone jest miasto
Moje miasto na wzgórzach
Moja troska, mój sen.*

Ref. *Jest piosenka ta lwowska:
Moje miasto, moja troska
Moje miasto za kordonem
Moja troska i myśl.*

Pisząc ww. tekst korzystałem z książki Zofii Kostki-Bieńkowskiej „Honorowi obywatele Jarosława 1857–2003”, Jarosław 2009, z papierów rodzinnych oraz informacji i życzliwej pomocy Karoliny Grodziskiej.

Michał Gaberle

* Andrzej Gaberle zmarł w Krakowie 1 lutego 2012

JÓZEF GARBIENI

W życiu Józefa Garbienia były dwa całkiem różne okresy. We wcześniejszym wstąpił się jako sportowiec, piłkarz lwowskiej Pogoni. Stał się w rządzie najwybitniejszych piłkarzy polskich – pośród braci Kucharów, Batscha, Matyasa, Albańskiego czy bliższego naszym czasom Górskiego.



Józef Garbienia urodził się 1896 r. w powiecie sanockim – w naszych wschodnich górach, pod samą przełęczą Łupkowską, która rozgranicza Beskidy zachodni i wschodni, w pow. sanockim. Do szkół chodził w Stryju i Lwowie. Także we Lwowie ukończył studia medyczne, został chirurgiem.

W piłkę nożną grał już w latach szkolnych w Stryju – Stryj leży niedaleko, niestety dziś odcięty jałtańskim kordonem. Kiedy znalazł się we Lwowie, zaraz wstąpił do Sokola, potem do Drużyn Strzeleckich, w 1914 r. do I Brygady Legionów. W 1918 brał udział w Obronie Lwowa. Był ranny.

Po I wojnie światowej wstąpił do Pogoni i tam zszedł się z owym kwiatem polskiej piłki nożnej. Razem z Wackiem Kucharem i Batschem stworzyli słynny tercet napadu, wspominany do dziś przez historyków sportu. W 1922 w Sztokholmie Garbienia zdobył pierwszą w historii bramkę z akcji, nie z rzutu karnego (jak jego poprzednik). Wygrali wtedy ze Szwecją 2:1. W 1924 brali udział w Olimpiadzie w Paryżu. Grali tam z Rumunią 1:1.

Garbienia grał w Pogoni 15 lat, przez kilka lat był jej kapitanem. Brał udział w 8 oficjalnych spotkaniach polskiej reprezentacji. W 1925 wysunął projekt opieki medycznej nad sportowcami. W latach 30. przeniósł się do Chrzanowa, w tamtejszym szpitalu objął posadzę lekarza-chirurga, a w końcu został jego dyrektorem.

Wypada jeszcze przypomnieć dzieje lwowskiej Pogoni. Powstała w 1904 r. jako klub gimnast.-sport. przy IV gimnazjum, a jako oficjalny Lwowski Klub Sportowy „Po-

goń” w 1907, był więc trzeci w ówczesnej Galicji. Najwcześniej we Lwowie powstał klub Czarni 1905, potem w Krakowie Cracovia 1906.

Stadion Pogoni powstał we Lwowie w 1913, za rogatką stryjską. W inauguracyjnym spotkaniu Pogoń zagrała z Cracovią.

W listopadzie 1918 r. sportowcy stanęli w pierwszym szeregu obrońców Lwowa. W walkach w mieście i pod Zadwórzem w 1919 r. zginęło 57 członków Klubu Pogoń. Dodajmy na koniec, że w czasie II wojny Józef Garbień był członkiem AK, przez co przez wiele lat o jego sukcesach sportowych niemal nie pisano. Dziś możemy mu to wynagrodzić.

DZIEWCZYNA Z BANKNOTU



Czytelnicy, którzy spędzili lata powojennego ćwierćwiecza w PRL, zapamiętali zapewne ówczesne papierowe banknoty, a przynajmniej jeden: dwudziestozłotówkę. Na banknocie tym – co widać na załączonej odbitce – znajdowała się głowa robotnicy

w chustce. Autorem tej podobizny był Wacław Borowski, malarz i grafik, autor polskich pieniędzy jeszcze w czasach przedwojennych. Projekt tego powstał w 1947 r.

I cóż się okazuje: wzorem twarzy tej „robotnicy” była młoda lwowianka, zamieszkała po wojnie w Krakowie, Helena Bujak. Urodziła się w 1922 r. we Lwowie, a na krótko przed wybuchem II wojny rozpoczęła studia artystyczne, prawdopodobnie w Szkole Przemysłu Artystycznego przy ul. Snopkowskiej. Jej marzeniem było zostać rzeźbiarką.

Rodzina ekspatriantka Bujaków osiadła w Krakowie. Tu Helena spotkała swego lwowskiego znajomego, inżyniera Witolda Michalika*, który niebawem został jej mężem. Również w Krakowie znalazł się Wacław Borowski, jej były nauczyciel ze szkoły artystycznej we Lwowie. Doszło więc do spotkania, którego owocem była podobizna – choć nie całkiem wierna – owej robotnicy.

Nie ma jednak dokumentu, który by to poświadczał, autor od dawna nie żyje, a sama Helena zmarła w 1991 r. Jednak sprawa pozostaje w świadomości rodziny, ponadto potwierdził to – po badaniach wielu zdjęć – specjalista z Komendy Policji w Krakowie.

Helena Michalikowa w wieku 53 lat wyszła powtórnie za mąż. Spędziła kilka lat w Australii, ale na krótko przed śmiercią wróciła do Polski. Spoczęła na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

* Ur. w Rudkach k. Lwowa, absolwent Politechniki Lwowskiej. Zmarł w 1985 r. Miał 3 dzieci.

*Wielce Szanowny
Panie Redaktorze Naczelny
oraz wszyscy Członkowie Redakcji –*

– dziękujemy w imieniu adresatów i FOPnU za otrzymywane kwartalniki dla kolportażu, za Wasze prace i starania.

W ten piękny czas łączymy się z Wami myślami. Życzymy nadziei, własnego skrawka nieba, zadumy nad płomieniem świecy, filiżanki dobrej pachnącej kawy, piękna poezji i muzyki, pogodnych świąt zimowych, odpoczynku, zwolnienia oddechu,

nabrania dystansu do tego co wokół, chwil roziskrzonych kołędą, śmiechem i wspomnieniami. Wielu sukcesów, odważnych marzeń, mądrych decyzji, satysfakcji, spokoju i pomyślności w całym 2012 roku!

Federacja Organizacji Polskich n U.
z Biurem we Lwowie oraz Redakcja
czasopisma FOPnU „Nasze Drogi”.

*Emilia Chmielowa, Teresa Dutkiewicz,
Elżbieta Korowiecka*

Z TAMTEJ STRONY

Wydarzenia

◆ Prasa doniosła, że nowo otwarty we Lwowie polski punkt wizowy dla obywateli państwa ukraińskiego jest **jedną z najbardziej obleganych polskich placówek tego typu na świecie**. Z punktu wizowego złożone dokumenty zostają przesłane do polskiego konsulatu, bo tylko konsul może podjąć stosowną decyzję. Na terenie tego państwa ma być – poza siedmioma konsulatami – jeszcze 7 dalszych



Nowo otwarty budynek konsulatu RP we Lwowie.
Fot. Jacek Borzęcki, „Dziennik Polski”

punktów wizowych, aż po Donieck, Odessę i Krym. Konsul powiedział, że takie rozwiązanie, poza ułatwieniami, doprowadzi do zwiększenia zainteresowania Polską ze strony obywateli Ukrainy (czy jest ono za małe?).

W Krakowie i dalej

UCZCZONO PAMIĘĆ MATKI I SYNA

Nie chodzi tu o upamiętnienie na Rossie Matki Marszałka i Jej Syna, bo to dokonano dawno (1935), lecz postaci, które mimo upływu o 10 lat więcej (1925) nie doczekały się dotąd godnego uczczenia.

Ważnym wydarzeniem naszej historii była bitwa pod Zadwórzem, która – razem z wielką bitwą pod Radzyminem w sierpniu 1920 r. – zadecydowała o powstrzymaniu nawały bolszewickiej na Polskę i Europę. To był ów „Cud nad Wisłą”.

Kiedy w pięć lat później przystąpiono w Warszawie do budowy Grobu Nieznanego Żołnierza pod kolumnadą na placu Saskim, drogą losowania wybrano spośród kilkunastu pobojozwisk I wojny światowej – pobojozwi-

ska lwowskie, oczywiście wraz z tym pod Zadwórzem, a także trzy trumny z nierozpoznanymi zwłokami. Również drogą losowania wybrano jedną z matek nieodnalezionego poległego – los padł na Stefanię Zarugiewiczową, matkę 19-letniego syna Konstantego, którego ciało nie zostało zidentyfikowane wśród trzystu zabitych. Zarugiewiczowie byli znaną rodziną lwowską o korzeniach ormiańskich.

Stefania Zarugiewiczowa wskazała jedną z owych zamkniętych trumien, kryjących szczątki trzech nieznanych poległych obrońców Lwowa. Trumna została następnie uroczystie przewieziona ze Lwowa do Warszawy i tam złożona pod kolumnadą. Jej fragment z Grobem szczęśliwie ocalał w czasie Powstania Warszawskiego.

Niestety większość naszego społeczeństwa nie znała dotąd tej historii, nieznaną ogółowi była też postać Jadwigi Zarugiewiczowej. Wreszcie doczekaliśmy się zmiany.

W Dzień Zaduszny 2011 roku została odsłonięta tablica pamiątkowa ze zdjęciami Matki i Jej Syna, a także dwa herby: Lwowa i Warszawy – dwóch jedynych miast polskich, które odznaczone zostały Krzyżem



Virtuti Militari. Mówił o tym w czasie uroczystości odsłonięcia Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Kunert.

Dla przypomnienia: w jednym z pierwszych numerów naszego kwartalnika – CL 3–4/1995 – zamieściliśmy dwa ważne teksty. Pierwszy to opis pogrzebu Nieznanego Żołnierza ze Lwowa do Warszawy (autor Z. Oleszczyk), drugi to rozmowa przeprowadzona w 1995 r. z Tomaszem Pawelskim, wnukiem Pani Zarugiewiczowej. W rozmowie tej czytamy o przodkach, o dzieciach i wnukach Stefanii i Andrzeja Zarugiewiczów, wywodzących się z Kut nad Czeremoszem, najbardziej ormiańskiego miasteczka na Pokuciu.

Z żałobnej karty

Zmarł ADAM HANUSZKIEWICZ

Był wielkim człowiekiem polskiego teatru, znakomitym aktorem, reżyserem, dyrektorem teatrów, pedagogiem. To, co proponował, było zawsze oryginalne, choć nie wszyscy to akceptowali. I ten Kordian na drabinie, i bohaterowie *Balladyny* na srebrnych hondach. Niektórzy krytycy potępiali go za efekciarstwo, inni uważali, że wytycza drogi dla odczytania klasyki na nowo.

Urodził się we Lwowie, jego rodzice prowadzili sklep. Po wybuchu wojny doradzono mu, by wstąpił do teatru wojskowego. Tak uczynił, mimo że nie chciał być aktorem. Nie ukończył studiów teatralnych, może więc to sprawiło, iż poważał się zerwać z podejściem do spektaklu zgodnym z tradycją? Niezwykły temperament pozwolił mu na łamanie kanonów, na pewną nonszalancję, nawet prowokacje artystyczne, a to u współczesnych ludzi teatru wzbudziło akceptację, aż po entuzjazm. W rezultacie zrealizował w sposób nowatorski dzieła największych klasyków europejskich i narodowych – było tego ponad 200, był też dyrektorem kilku teatrów i начальnym reżyserem Teatru Telewizji.

Był więc Hanuszkiewicz jednym z najbardziej oryginalnych twórców w teatrze polskim XX wieku. Zmarł w grudniu 2011 roku w Warszawie.

◆ Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci **Zbigniewa Umańskiego**, działacza naszego Towarzystwa we Wrocławiu, redaktora w czasopiśmie Zarządu Głównego TMLiKPW „Semper Fidelis”. Urodził się jako syn wojskowego we Lwowie, ale najmłodsze lata do II wojny spędził w Stanisławowie. Z zawodu był dziennikarzem – studia dziennikarskie ukończył na UJ w Krakowie – pracował w redakcjach wrocławskich. Przeżył 81 lat, ostatnio bardzo ciężko chorował. Śmierć zabrała Go w sierpniu tego roku. Prochy złożono w Karpaczu.

Zbyszek Umański był człowiekiem godnym, mądrym i przyjaznym, ogólnie lubianym. Był niezwykle oddany naszym wspólnym wschodniomałopolskim stronom, w ostatnim dwudziestolecu dużo na ich temat pisał i publikował. Ludzie, a przede wszystkim towarzysze ekspatrianckiej niedoli to doceniali. I nie tylko oni, Zbyszek otrzymał wiele poważnych odznaczeń.

Pamięć o Tobie, Zbyszku, będzie nam zawsze bliska.



Zbigniew Umański

KULTURA NAUKA

ZBIORY OJCA ADAMA URATOWANE

◆ W grudniu '11 zmarł w Krakowie w wieku 64 lat **Alfred Biesiadecki**, lwowianin. Był wnukiem znakomitego bibliofila Franciszka Biesiadeckiego, założyciela Towarzystwa Miłośników Książki we Lwowie, właściciela pięknej kamienicy-zamczyska przy ul. Potockiego, a ponadto wnukiem Alfreda Biesiadeckiego, wybitnego lekarza, profesora medycyny na uniwersytetach w Krakowie i Lwowie. Rodzice Alfreda (jun.) nie wyjechali ze Lwowa po II wojnie, tam ukończył szkoły. Dopiero w latach 1980. zdecydował się przenieść wraz ze swoją rodziną do Krakowa.

◆ W ostatnich dniach grudnia '11 nieoczekiwanie **zmarła w Krakowie Barbara Uhma**, lekarz-chirurg (na emeryturze), rodzona lwowianka. Jeszcze przed kilku laty była stałą uczestniczką spotkań społeczności wschodniomałopolskiej w Kapitularku dominikańskim i w Klubie „Zaulek” w Krakowie.

Barbara Uhma była córką dra Stefana Uhmy (1888–1966), wybitnego lwowskiego działacza politycznego i społecznego, bankowca, współzałożyciela WSHZ, późniejszej Akademii Handlu Zagranicznego. W ostatnich latach życia opracował – jako jeden z pierwszych – tom lwowskich piosenek, wydany w Londynie. Pozostawił po sobie 4-tomowe wspomnienia, które dotąd nie zostały wydane. Wszystko to opisała w naszym kwartalniku CL 1/03 jego zmarła teraz córka, Barbara.

Wspomnienie rodzinne o Barbarze Uhmie znajdzie się w następnym numerze.

◆ W Izraelu zmarła wybitna **pisarka żydowska pisząca po polsku – Ida Fink**. Urodziła się w Zbarażu przed 90 laty. We Lwowie rozpoczęła studia muzyczne, przerwane wojną. Ukrywała się, z Polski wyjechała w 1957 r. Pracowała w bibliotekach, a pisać zaczęła dopiero w latach 50. Jej najważniejsze dzieła to *Podróż* (1990), zbiór opowiadań *Skrawek czasu* (1983), sztuki i słuchowiska radiowe. Uznano ją za jedną ze stu najważniejszych autorów żydowskich.

W Krakowie – w dawnych budynkach wojskowych położonych między Dworcem Głównym a Cmentarzem Rakowickim – powstaje Muzeum Armii Krajowej (ma być otwarte w tym roku). Nie znamy jeszcze scenariusza tej ekspozycji, która obejmie ok. 15 tys. eksponatów, jednak ostatnio okazało się, że jej zakres tematyczny zostanie poszerzony i to w sposób, który nas usatysfakcjonuje szczególnie. Nowym elementem ekspozycji staną się zbiory Ojca Generała Adama Stuzińskiego, dominikanina (1911–2008), który – jak pamiętamy z licznych opisów, także w naszym kwartalniku – spędził II wojnę światową jako kapelan w II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (u gen. Maczka), uczestnicząc także w Bitwie o Monte Cassino. Stopień generała otrzymał na kilka lat przed śmiercią.

Ojciec Adam, który po wojnie osiadł w krakowskim klasztorze oo. Dominikanów, przywiózł do Polski mundury, odznaczenia, szaty liturgiczne, a także gromadzone pamiątki, związane z II wojną na Zachodzie (razem ok. 600 obiektów). Przedmioty te eksponował Ojciec czasowo w klasztorze, jednak brak warunków uniemożliwił tam stałą wystawę. Obecnie Muzeum AK wzięło ten zbiór w depozyt.

Wśród innych szczególnie interesujących nas eksponatów znajdzie się m.in. mundur Komendanta Głównego AK, gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego (rodem z Tarnopolszczyzny), a także – z okresu przedwojennego – mundur kadecki z I Korpusu Kadetów we Lwowie.

Do powyższej informacji wykorzystaliśmy (częściowo, w skrócie) artykuł red. Małgorzaty Mrowiec z „Dziennika Polskiego” z 5 I '12.

XI Konferencja Naukowa na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie

W połowie listopada odbyła się – już XI – **Konferencja Naukowa Kraków–Lwów – książki, czasopisma, biblioteki XIX i XX wieku**, urządzana na zmianę w obu miastach. Po stronie RP organizacja leży w rękach Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej.

Podczas konferencji usłyszeliśmy 58 referatów, uszeregowanych na sesji plenarnej oraz w trzech sekcjach. W sesji plenarnej (na początku i na końcu Konferencji) znalazło się 9 referatów, w tym 5 dotyczyło problematyki lwowskiej* w pełni, jeden zaś częściowo. W sekcji I zatytułowanej *Dzieje książki i ruchu wydawniczego* było 14 referatów, w tym 3 dotyczyły problematyki lwowskiej w pełni, 4 częściowo. Sekcja II: *Czasopisma* wygłoszono 18 referatów, w tym 6 dotyczyło problematyki lwowskiej w pełni, 3 częściowo. W sekcji III *Biblioteki, księgozbiory, kolekcje* było 15 referatów, w tym 4 lwowskie w pełni, 3 częściowo.

Sumując, na 58 wypowiedzi 18 dotyczyło problematyki lwowskiej i wschodniomałopolskiej w pełni, zaś 11 częściowo (głównie w układzie Lwów–Kraków). Pozostałe 29 tematów dotyczyło spraw ogólnych, krakowskich lub innych ośrodków w kraju. Zwraca uwagę zmiana proporcji: w poprzednich latach problematyka lwowska osiągała lub nawet przekraczała połowę referatów. Uważamy, że wynika to nie tyle ze zmniejszania się zainteresowania historią i kulturą Ziemi Wschodnich, co udziałem w konferencji przedstawicielei większej liczby ośrodków naukowych, wprowadzających własne zainteresowania, nie zawsze pokrywające się z przedmiotową tematyką konferencji.

Wśród referatów naszą szczególną uwagę zwróciły następujące:

- *Produkcja wydawnicza Lwowa w latach 1919–1939 – problemy metodologiczne* (E. Wójcik, Kraków)
- *Introligatorstwo krakowskie, lwowskie i warszawskie w XIX i połowie XX w. Studium porównawcze* (E. Pokorzyńska, Bydgoszcz)

- *Lwowskie XIX-wieczne wydawnictwa muzyczne* (H. Kowalska, Wrocław)
- *Historycy lwowscy w dobie autonomii galicyjskiej jako edytorzy źródeł* (A. Toczek, Kraków)
- *Działalność naukowo-wydawnicza i popularyzatorska Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa* (K. Chachaj, Lublin)
- *Krakowskie i lwowskie czasopisma popularnonaukowe w latach 1918–1939* (G. Wrona, Kraków)
- *Czarna Kamienica czy pałac Łozińskiego? O projekcie przekazania biblioteki Jana Kasprowicza królewskiemu stołecznemu miastu Lwów* (J. Dziemakowska, Kielce)
- *Księgozbiór oo. Franciszkanów we Lwowie w świetle inwentarzy bibliotecznych z lat 1898–1903* (H. Rusińska-Giertych, Wrocław)
- *Stanisław Wasylewski jako stypendysta i pracownik ZN im. Ossolińskich* (B. Langer, Kraków)
- *Lwowska prasa katolicka jako źródło do dziejów polskich dominikanów okresu międzywojennego* (M. Milawicki, Kraków)
- *Tematyka lwowska w polskiej prasie uchodźczej w Stanach Zj. po II wojnie światowej* (J. Chwastyk-Kowalczyk, Kielce)
- *Leopolitana w kolekcji tek prof. M. Tyrowicza w Bibliotece IH UP w Krakowie* (M. Wierzbak, Kraków)
- *Spuścizny uczonych związanych ze Lwowem w zbiorach rękopiśmiennych BN PAU i PAN w Krakowie* (E. Danowska, Kielce)
- *Wykluczeni z historii Lwowa. Zapiski Ukraińców, Żydów, Polaków w pamiętnikach i prozie autobiograficznej po 1939 r.* (B. Gierszewska, Kielce)

Tyle informacji zawartej w tytułach. Jednak dopiero po ukazaniu się pełnego zbioru referatów w formie książkowej (za rok?) będzie można ocenić pozycje, które wzbogacą obraz historii i kultury polskiego Lwowa.

* Przez określenie *lwowskie* rozumiemy problematykę szerszą – wschodniomałopolską, w tym stanisławowską i tamopolską.

Kronika

◆ Prasa poinformowała, że zakończono odnowę pałacu Fredrów w Beńkowej Wiszni (po tamtej stronie kordonu, k. Rudek). Prace wykonano staraniem Stowarzyszenia „Willa Decjusza” w Krakowie, w oparciu o studia i prace projektowe studentów architektury



Politechniki Krakowskiej i zespołu archeologów.

Pałac w Beńkowej Wiszni został zbudowany w stylu neorenesansowym w roku 1835 przez Aleksandra Fredrę, potem, z końcem XIX w., rozbudowany przez jego syna. W rękach Fredrów pozostawał do II wojny światowej. Obecnie ma być zagospodarowany na siedzibę Międzynarodowego Centrum Współpracy Kulturalnej, wzorowanego na krakowskim Stowarzyszeniu „Willa Decjusza”.

Niezorientowanych informujemy, że Willa Decjusza na Woli Justowskiej pod Krakowem jest pałacem renesansowym, zbudowanym w XVI w. przez sekretarza króla Zygmunta Starego, Justusa Decjusza. Do II wojny należała do rodziny XX Czartoryskich. Dziś jest miejscem wielu imprez kulturalnych.

◆ W ostatnich dniach listopada '11 „Stacja Kresowa” w Krakowie (o której już informowaliśmy w CL 3/11) wespół z Polskim Radiem zorganizowały prezentację cztero płytowego albumu poświęconego tragicznym wydarzeniom antypolskim na Wołyniu w latach 1943–44. Głównym referentem była dr Ewa Siemaszko, autorka omówienia materiałów zawartych w albumie. W trakcie spotkania (które odbyło się w gmachu Biblioteki Jagiellońskiej) odtworzono kilka relacji żyjących ofiar i świadków wydarzeń, ponadto zabrało głos kilka osób znających tamte problemy, m.in. dr Lucyna Kulińska.

Spotkanie prowadził Maciej Wojciechowski, animator Stacji Kresowej, współautor filmu *Było sobie miasteczko*.

◆ Towarzystwo Lekarskie Krakowskie na swym grudniowym spotkaniu przedstawiło – przy organizacyjnym udziale Krakowskiego Oddziału TMLiKPW temat: **Doktor Józef Garbień (1896–1954) – lekarz, sportowiec, patriota**. Referat wygłosił prof. dr Andrzej Wysocki (chirurg z Collegium Medicum UJ). Spotkanie zostało urozmaicone występem Tyli-gientnych Batiarów z Bytoma.

W dziale *Sylwetki* w tym numerze przedstawiamy krótkie omówienie pierwszego – sportowego okresu życia dra Garbienia, gdy był jednym z czołowych piłkarzy lwowskiej „Pogoni”. Późniejszy okres jego życia to praca lekarska i dyrekcja szpitala w Chrzanowie.

◆ Wieczorem 13 stycznia natknęliśmy się w TVP *Kultura* na koncert nadawany z... Katedry lwowskiej. Sięgnęliśmy niezwłocznie do tygodniowego teleprogramu krakowskiego „Dziennika Polskiego”, gdzie na str. 7 znaleźliśmy lakoniczną informację: 18.50, *Wojciech Kilar: Missa Pro Pace*. Tyle. Żadnej informacji o czasie i miejscu wykonania koncertu (dla nas Katedra łacińska była oczywiście rozpoznawalna, ale dla innych melomanów?), ani jaka orkiestra i chór, kto dyrygował. Być może, że podano to przed koncertem, ale ci, którzy telewizory otworzyli trochę później, nie dowiedzieli się nic. W każdym razie wydarzenie było na tyle interesujące, iż można by oczekiwać w teleprogramie szerszego wyjaśnienia, niż to, które podano. Niestety nikt z redaktorów tego nie wyczuł.

Trzeba przyznać, że koncert został bardzo pięknie wykonany. Odnieśliśmy wrażenie, że zarówno orkiestra, jak i chór i soliści byli miejscowi.

Kto z Czytelników wie coś więcej na ten temat?

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 W czasie spotkania w Brzegu (o czym mowa w CL 4/11, *Słowo od Redakcji*) odbyła się promocja książki **Kresowanie na Śląsku Opolskim** (wyd. Politechnika Opolska, Opole 2011). Jest to zbiór 50 artykułów i wspomnień – pod redakcją **Marii Kalczyńskiej** – o różnym charakterze. Mamy tu więc zarówno osobiste wspomnienia ekspatriantów ze stron lwowskich, stanisławowskich i pokuckich, tarnopolskich, wołyńskich, ale także poleskich, podlaskich, wileńskich, a wśród nazw rodzinnych miejscowości pojawiają się Biłka Szlachecka i Królewska, Busk, Kamionka Strumiłowa, Nadwórna, Monasterzyska... Ale także Sybir, jako swoisty etap tej dramatycznej drogi. I z drugiej strony – poza Opolem – Głubczyce i Kędzierzyn, Brzeg, Kluczbork, Nysa i dziesiątki innych.



Sporo uwagi poświęcono osadnictwu na nowych miejscach, z danymi na temat działalności organizacyjnej ówczesnych urzędów, liczebności, ale z drugiej strony dziedzictwu kulturowemu, które przynieśli ekspatrianci i ich *kresowej* gwarze, o różnych środowiskach – nauczycielskim, leśniczym, o harcerstwie, duchowieństwie.

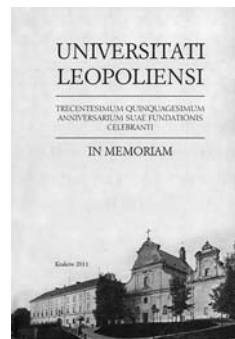
Autorzy podkreślają jednak, że nie zapominają dawnych stron. Mowa więc o organizacjach *kresowych**, muzeach i badaniach nad *kresowym* dziedzictwem kulturowym, o audycjach radiowych, a wreszcie o wspomnieniach rodzinnych, o wycieczkach i pielgrzymkach w stare miejsca.

W sumie książka jest historycznie niewyłącznie cenna.

* Czytelnicy wiedzą, jak bardzo nie lubimy słów *Kresy*, *Kresowanie* w odniesieniu do ekspatriantów

– wschodnich małopolan, wołyńców, grodnian, wilnian i wszystkich innych wygnańców z Ziemi Wschodniej II RP. Niestety słowa te przyjęły się, bo nie wymagają nadmiaru wiedzy...

📖 W CL 2/11 pisaliśmy o sesji na temat Uniwersytetu Lwowskiego, jaka miała miejsce przed rokiem w Krakowie, i wyraziliśmy nadzieję, że materiały z niej pokażą się niebawem. I rzeczywiście nakładem PAU w Krakowie ukazał się spory tom (530 stron) zatytułowany po łacinie: **Universitati Leopoliensi Trecentesimo Quinquagesimum Anniversarium Suae Fundationis Celebranti In Memoriam**, co na polski tłumaczy się: **Uniwersytetowi Lwowskiemu dla Upamiętnienia Trzystu Pięćdziesiątej Rocznicy Jego Fundacji**. Autorem przedmowy jest prof. **Jerzy Wyrozumski** (Kraków 2011). Spis treści tomu odpowiada tematyce, którą podaliśmy w CL 2/11 na s. 40.



📖 O ojcu Mieczysławie i synu Adamie Sołtysach, znanych muzykach lwowskich, pisaliśmy w CL niejednokrotnie, teraz jednak jest okazja szczególna, bo dotarła do nas ich wspólna biografia, napisana przez wnuczkę i córkę **Marię Ewę Sołtys** (zam. Pięta). Książka ma tytuł **Tylko we Lwowie**, a wydała ją Ossolineum (Wrocław 2008).

Z książki dowiadujemy się, że rodzina Sołtysów była notowana już w XVIII w. i wywodziła się spod Jaworowa, gdzie podobno miała majątek. Jednak nie najlepsze warunki bytowe prowadziły liczne potomstwo do przenoszenia się z czasem do Lwowa. Jednym z nich był Józef, urzędnik magistratu, ojciec Mieczysława.

Lata młodości Mieczysława przebiegały w okresie intensywnego rozwoju ekonomicznego i kulturalnego Galicji po uzyskaniu przez nią autonomii i języka polskiego. Powstawały liczne towarzystwa, a między innymi Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne (GTM).

Mieczysław, urodzony w 1863 r. (zm. 1929) uczył się już w szkole polskiej. Rozmiłowany w muzyce, uczęszczał nie tylko do gimnazjum, ale – w tajemnicy przed ojcem – także do konserwatorium GTM. Ta równoległość w edukacji trwała u niego aż do

końca podwójnych studiów: filozoficznych na uniwersytecie i muzycznych u Karola Mikułego (ucznia Chopina) w konserwatorium.

W końcu muzyka zwyciężyła. Sukcesy wykonawcze, pedagogiczne i kompozytorskie doprowadziły go do stanowiska dyrektora artystycznego GTM oraz dyrektora konserwatorium. Jego działalność charakteryzowała się m.in. coraz szerszym wprowadzaniem we Lwowie – obok wielkiej muzyki europejskiej – polskiej muzyki symfonicznej i oratoryjnej. Autorka szeroko opisuje realizację licznych projektów artystycznych Sołtysa i aktywność koncertową z udziałem wielkich wykonawców, coraz częściej – wśród zagranicznych – także polskich. W książce znajdujemy ponadto omówienie wielkich osiągnięć kompozytorskich Sołtysa i ich wykonawców.

Od r. 1900 Mieczysław Sołtys z rodziną zamieszkał w willi, którą zbudował sobie przy ul. Raclawickiej 5, blisko Parku Strybskiego. Na fasadzie tego domu umieszczono w roku 2000 tablicę pamiątkową ojca i syna Sołtysów (pokazywaliśmy ją w CL 1/01).

Adam Sołtys urodził się we Lwowie w 1890 r. (zm. 1968). Swoje pierwsze utwory fortepianowe skomponował w wieku lat 13–14. W r. 1911 zdał maturę i zarazem ukończył studia w konserwatorium GTM. W tym samym roku został przyjęty do Królewskiej Akademii Muzyki w Charlottenburgu, a po uzyskaniu tam doktoratu wrócił do Lwowa i podjął pracę w konserwatorium GTM jako profesor. Równocześnie zaczął prowadzić koncerty w dotychczasowym GTM – teraz już Polskim TM. Przez następne lata prowadził tam większość koncertów, a w 1930 r. został dyrektorem PTM i konserwatorium we Lwowie. W trzy lata później – także

reaktywowanej Filharmonii Lwowskiej (przy ul. Chorążczyzny). Równocześnie wiele komponował.

Wybuch II wojny światowej i okupacja sowiecka pozbawiły go stanowisk dyrektorskich, ale nadal prowadził koncerty i komponował. W konserwatorium mianowano go profesorem-konsultantem.

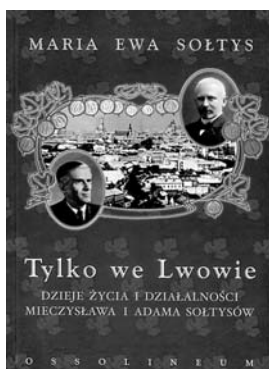
Podobnie jak w życiorysie Mieczysława Sołtysa autorka omawia szczegółowo wydarzenia życia jego syna, problemy, na jakie natrafiał w dwóch bardzo odmiennych okresach swego życia i działalności: do II wojny, potem w czasie wszystkich trzech okupacji.

Zmarł w rodzinnym domu w 78. roku życia. Ostatnie kilka lat osłodziło mu przyście na świat córeczki – późniejszej autorki omawianej książki.

📖 Nowa książka **ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego** *Nie zapomnij o kresach* (Małe Wydawnictwo, Kraków 2011) jest kontynuacją – jeśli idzie o tematykę – jego poprzedniej pracy sprzed trzech lat, *Przemilczane ludobójstwo na Kresach*. Jednocześnie jest wynikiem wielkiego zaangażowania Autora w sprawie zbrodni dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów z OUN i UPA na ludności Kresów Wschodnich II RP w czasie wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Świadczy też o ogromnej ruchliwości ks. Zaleskiego, który w okresie dzielącym wydanie obu pozycji odbył dziesiątki spotkań autorskich, prelekcji i wykładów na temat ukraińskiego ludobójstwa, tak w Polsce, jak i poza naszym krajem (w Austrii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Argentynie). Plon tak licznych spotkań z czytelnikami znajdziemy w omawianej pracy Księdza.

Książka składa się z trzech części. Pierwsza z nich: *Kresowianie żądają prawdy* – to świadectwo wieloletnich zmagających jeszcze Kresowian i ich potomków o uznanie prawdy historycznej o kresowym ludobójstwie. Są tu wnioski z wielu rozmów w środowiskach kresowych, a także dramatyczne przykłady barbarzyńskich zbrodni ukraińskich nacjonalistów, na przykład takich jak opisana w opowieści Janiny Kalinowskiej z Wołynia, wówczas małej dziewczynki, ocalałej cudem z banderowskiej rzezi. ... *bohaterowie* z bandy UPA przyszli do mojego domu i zamordowali mamę, tatę i brata. Upadające ciało mamy przewróciło się na mnie, dzięki czemu przeżyłam. A i tak dobrze, że nie zabili mojej rodziny siekierami, że nie wydlubowali oczu. (str. 48–49).

Druga część książki – *Historie, które warto poznać*, zawiera szkice historyczne i felietony opublikowane przez Autora w „Ga-



zecie Polskiej” Prezentowane są tutaj również sylwetki wielu wspaniałych patriotów pochodzących z Kresów, zarówno Polaków, jak też Rusinów i Żydów (dla przykładu: Mikołaj Zyblikiewicz, Szymon Petlura, gen. Bernard Mond).

Część trzecia: *Ormianie polscy*, poświęcona jest „emigrantom spod Araratu” (jak nazywa ich Autor we wstępie do książki), którzy przez wieki służyli sprawie polskiej, współtworzyli polską historię i tradycję, a również i dzisiaj to czynią.

Książka ks. Isakowicza-Zaleskiego jest pozycją niezwykle cenną, wartościową i potrzebną, zwłaszcza w edukacji młodego pokolenia (także jego obecnych nauczycieli i wychowawców!), ponieważ ukazuje prawdę o tym, co dobrego i szlachetnego działo się na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej i co zostało brutalnie zniszczone

przez barbarzyńskie, bandyckie działania ukraińskich nacjonalistów. Równocześnie jest poważnym ostrzeżeniem przed współczesnym nacjonalizmem, odradzającym się niebezpiecznie w wielu miejscach dzisiejszego państwa ukraińskiego...

PS. Z własnych wspomnień: w Samborze, dokąd rzuciła nas wojna, w polskiej szkole, do której chodziliśmy obaj z bratem, tuż po Nowym Roku 1945 wprowadzono „ukraiński język nauczania”. Wówczas to nasza Matka, osoba światła i bardzo tolerancyjna, w tymże Samborze pobierająca kiedyś naukę w Seminarium Nauczycielskim wspólnie z młodymi Żydówkami i Ukrainkami, o których zawsze wyrażała się z sympatią, powiedziała do nas te znamienne słowa: Nie będziecie się uczyć w języku wroga. Wracamy „do Polski” (tak się wtedy mówiło). (IK)

Wertując wydawnictwa

➔ Nadszedł nowy, 9. numer „**Biuletynu Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej**”, wydawany we Wrocławiu pod redakcją Jana Rybotyckiego z zespołem. Numer jest bardzo bogaty, liczy 126 stron w formacie (jak zwykle) A4. Obejmuje dwadzieścia kilka obszernych artykułów i materiałów, sporo archiwalnych ilustracji.

Numer otwiera niezwykle ważny i ciekawy tekst Rafała Kazimierza Nowaka z Łodzi, odnoszący się nie tylko do stron drohobyckich. Tytuł brzmi: *Przesiedlenie ludności w świetle dokumentów Rejonowego Pełnomocnika Rządu RP ds. Ewaluacji Ludności Polskiej z USSR w Drohobyczu*. Jest to fragment przyszłej pracy doktorskiej.

Kilka artykułów traktuje o artyście-fotografie Wilhelmie Russie oraz o fotografii naukowym Michale E. Rossler-Moczulskim, a dalej o rodzinach Fritzów i Jabłońskich, o sybirakach Feliksie Milanie i Izabeli Sobek. Jako ważne teksty trzeba wymienić *Słownik geograficzno-historyczny*. W tym numerze pisze się o Małym Rynku i ul. Jagiellońskiej w Drohobyczu, a także o Schodnicy oraz wsi Majdan. Redaktor wspomina turystykę

na Ziemi Drohobyckiej w okresie międzywojennym, bo to przecież ważny podgórski teren.

Oczywiście sporo o sprawach Stowarzyszenia i drohobyckich Krajanach, o wycieczkach w ojczyste strony, o książkach. Bardzo ciekawy numer.

➔ W nadesłanej nam z Wrocławia „**Gazecie Dolnośląskiej Izby Lekarskiej MEDIUM**” nr 8–9/11 (patrz *Listy* w tym numerze CL) znaleźliśmy następujące *leopolitana*:

■ M. Bruziewicz-Mikłaszewska – w 70-lecie zamordowania Profesorów Lwowskich na Wulce w lipcu 1941 r. – daje relację z wyjazdu lekarzy z Wrocławia na odsłonięcie pomnika ofiar kaźni, wśród których dużą część, jak pamiętamy, stanowili właśnie lekarze. Ich sylwetki omawia, a na okładce tego numeru „Medium” zamieszczono zdjęcie pomnika oraz trzech ofiar zbrodni: profesorów Antoniego Cieszyńskiego, Tadeusza Ostrowskiego i dra Jerzego Grzędzielskiego.

■ Na Zamku Królewskim w Warszawie miało miejsce nadanie tytułu doktora *honoris causa* tamt. Uniwersytetu Medycznego **profesorowi Januszowi Woytoniowi** z Akademii Medycznej we Wrocławiu. Prof. J. Woytoń urodził się w 1932 r. w Tarnopolu, edu-



kcję szkolną rozpoczął we Lwowie, ukończył w Gliwicach. Studia na AM we Wrocławiu, specjalizacja w ginekologii i położnictwie, i w tej dziedzinie przeszedł wszystkie szczeble kariery naukowej i zawodowej, dochodząc do stopnia profesora i kierownika Kliniki Rozrodczości i Położnictwa.

■ W maju '11 obchodzone w Oleśnicy na Dolnym Śląsku 129. rocznicę urodzin w tym mieście (1882, wtedy

nazywało się Oels) twórcy nowoczesnej stomatologii polskiej, **Antoniego Cieszyńskiego, profesora UJK** we Lwowie, zamordowanego na Wulce w 1941 r.

■ Zamieszczono wspomnienie o **profesorze chirurgii Stefanie Koczorowskim** (1910–1997). Pochodził z Kujaw, ale studia medyczne odbył we Lwowie i tu, do II wojny, pracował w klinice UJK. Po wojnie osiadł we Wrocławiu i przechodząc wszystkie stopnie kariery został kierownikiem Kliniki Chirurgii Ogólnej. Jego szczególne zainteresowanie kierowało się ku nowym metodom operacyjnym i zasadom postępowania leczniczego, zwłaszcza w torakochirurgii, kardiochirurgii i chirurgii przewodu pokarmowego.

Przez całe swoje życie zawodowe był Koczorowski blisko związany z prof. W. Brossem. Poniżej pozwalamy sobie przedrukować z „Medium” krótki fragment wspomnień o obu Profesorach.

➔ Dotarli do nas dwa numery – 7 lato i 8 jesień/2011 – pisma ormiańskiego „Awedis”, wydawanego w dwóch językach i dwóch alfabetych, polskim i ormiańskim. Poniżej tytułu czytamy: *posłaniec, niosący dobrą nowinę* – zapewne to właśnie znaczy słowo *awedis*. Pismo, jak wynika z numeracji, jest prawdopodobnie kwartalnikiem, można się więc domyślić, że ukazuje się od dwóch lat. Formę ma gazetową, stron 16. Redakcja mieści się w Warszawie, a redaktorem naczelnym jest Armen Artwich (Polak? Ormianin?).

W wymienionych numerach znaleźliśmy takie oto najciekawsze artykuły:

■ relacja z powtórnego pogrzebu abpa Józefa Teodorowicza na Cmentarzu Obrońców Lwowa w dn. 7 czerwca 2011, poprzedzona szczegółowym opisem niezwykle trudnych, wieloletnich przygotowań. Opis pogrzebu, zamieszczony w CL 3/11, uzupełnia informacja, iż w mszy św. koncelebrowanej na Cmentarzu, obok kard. K. Nyczka, abpa M. Mokrzyckiego i bpa L. Małego, koncelebrantami byli księża ormiańskokatolicy z Bejrutu i Warszawy, abp G. Buniatian z Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, greckokatolicy i prawosławni;

■ wspomnienie z wycieczki do Kut w 1938 r.;

■ o symbolicznej Matce polskiego Nieznanego Żołnierza z Grobu na Placu Saskim w Warszawie, Stefanii Żuragiewiczowej. Jej rodzony syn Konstanty (1901–1919) zginął pod Zadwórzem i nie został rozpoznany. Na marginesie warto dodać, że nasz Oddział Krakowski TMLiKPW usiłował w latach 1990. dotrzeć do grobu S. Żuragiewiczowej w Suwałkach, jednak otrzymano informację, że

LWOWIACY Z WYBORU

Profesor Stefan Koczorowski i starszy od niego o siedem lat profesor Wiktor Bross stanowili wyjątkowy duet medyczny, znany w środowisku lekarskim już w czasach lwowskich. Obydwaj pochodzili z bliskich sobie stron. Wiktor był poznaniakiem (urodzony w Witkowie koło Gniezna), a Stefan kujawiakiem (urodzony we Włocławku). Studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz pierwsze szlify w chirurgii i w pracy naukowej w klinice profesora Tadeusza Ostrowskiego sprawiły jednak, że do końca życia utożsamiali się ze Lwowem.

Wiktor, bardziej energiczny i o kilka lat starszy, zawsze dyrygował i odgrywał pierwsze skrzypce. Stefan, spokojny, bardzo dokładny i dociekliwy, godnie mu towarzyszył. Obaj pracowici, znający języki obce, konsekwentnie dążyli do wyznaczonego celu. W 1938 r. W. Bross uzyskał habilitację, w tym samym roku S. Koczorowski obronił pracę doktorską. [...] Obaj jeszcze we Lwowie uczestniczyli w pionierskich zabiegach chirurgicznych leczenia gruźlicy. (Bogdan Łazarkiewicz)

grób ten już nie istnieje. Być może obecnie uda się go odnaleźć;

■ wywiad z ks. Cezarym Annusewiczem w Gdańsku;

■ o „Mons Pius” Ormian Lwowskich.

➔ Redakcja „Semper Fidelis” wydała – jak corocznie – ścienny **Kalendarz Lwowski**. I, jak zwykle, na kartach miesiący znalazły się wizerunki wybitnych postaci związanych ze Lwowem i Małopolską Wschodnią (urodzeniem lub działalnością) oraz zdjęcia architektury z tego regionu.

Wśród postaci większość to wysocy wojskowi polskiej armii XX-lecia i II wojny światowej (jedynie trzech *cywilów*).

Tu dla porządku warto zwrócić uwagę, że gen. Józef Haller nie pochodził z rodziny arystokratycznej (jak napisano), lecz kupieckiej, osiadłej

w Krakowie od XV wieku. Dopiero na przełomie XVIII/XIX wieku wzbogaceni Hallerowie zaczęli zakupywać majątki ziemskie, a także zajmować wysokie stanowiska. Austriackie szlachectwo wraz z przydomkiem de Hallenburg otrzymali w 1795 r. We Lwowie osiadł ojciec generała Henryk, wysoki urzędnik w Tow. Kredytowym Ziemskim, oraz stryj Cezary, działacz polityczny, nb. współzałożyciel zakładu umysłowo chorych w Kulparkowie. To jest niewątpliwa ciekawostka.

Do wysokiej szlachty (ale chyba nie arystokracji) można by raczej zaliczyć generałów Tadeusza Komorowskiego-Bora oraz Tadeusza Rozwadowskiego.

Wśród zdjęć obiektów architektury spodobało się nam najmniej znane: dworek w Brzeżanach, bardzo polski w charakterze, co oczywiste. Natomiast ciśnie się pytanie: czy w zestawie zdjęć musiała jako pierwsza znaleźć się cerkiew?

Przeczytane

Kto pamięta?

[...] Pod koniec 1942 r. w PPR nastąpił poważny kryzys personalny. Zginął wtedy Marceli Nowotko (wg jednej z hipotez ofiara partyjnych porachunków) oraz bracia Mołojcowie, zabici przez partyjnych towarzyszy. Spiskowcami, którzy zlecieli ich zamordowanie, byli Małgorzata Fornalska, Władysław Gomułka (i inni) [...]. Kremłowski patroni polskich komunistów nabrali obaw, że członkowie kierownictwa PPR wzajemnie się pozabijają. Postanowiono wysłać do okupowanej Polski nowego przywódcę tej partii. Miał nim być Baruch Cukier.

Cukier urodził się w 1902 r. w Zgierzu w rodzinie drobnych żydowskich kupców. [...] Od młodości był związany z ruchem komunistycznym – będącym sowiecką agencją dążącą do pozbawienia Polski niepodległości i przyłączenia jej do ZSRR. [...] Aresztowany przez polską policję w 1936 r. przebywał m.in. w obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej. [...]

Po wybuchu II wojny światowej Cukier – podobnie jak inni zwolniony z więzienia – uciekł pod sowiecką okupację. Został zatrudniony w redakcji „Czerwonego Sztandaru”, sowieckiej gadzinówki wydawanej po polsku we Lwowie od 5 października 1939

do 22 czerwca 1941 r. Do tej zięjącej nienawiścią do „pańskiej Polski” gazety pisywał pełne fałszu i propagandowego jadu artykuły. W numerze 53 z 25 listopada 1939 r. pisał m.in.: *Dziś jeszcze można ogarnąć ten cudowny fakt, że to wszystko należy już do bezpowrotnej przeszłości. Kiedy na ulicach wyzwolonego Lwowa patrzę na żelazne kolumny naszej wyzwolicielki, Czerwonej Armii, na upojone radością tłumy (...) wtedy uśmiechamy się do siebie pełni szczęścia, żeśmy się odnaleźli w naszej socjalistycznej ojczyźnie.*

Jego artykuły w „Czerwonym Sztandarze” służyły potem jako akty oskarżenia przeciwko lewicowym literatom (m.in. Aleksandrowi Watowi i Władysławowi Broniewskiemu), określonym jako *prześiąknięci do szpiku kości nacjonalizmem polskim*. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, 22 czerwca 1941 r., Cukier uciekł ze Lwowa, pozostawiając tam żonę z małym dzieckiem – po latach pisał o tym Julian Strykowski. [...]

Fragmenty dotyczące Lwowa w artykule Sebastiana Drabika z Krakowskiego Oddziału IPN, zamieszczonym w „Dzienniku Polskim” z 9 XII 2011 pt. „Nieudany desant z Sowieców”.

Może ktoś pamięta tego Cukiera (Cukra)? Może ktoś zachował ówczesne numery „Czerwonego Sztandaru”?

LISTY DO REDAKCJI



Otrzymałiśmy bardzo miły list z Wrocławia od p. dr Haliny Mędrak, do którego załączony został numer 8–9/2011 „Gazety Dolnośląskiej Izby Lekarskiej MEDIUM”, pełen najróżniejszych wiadomości o historii i ludziach, związanych z naszymi wschodnio-małopolskimi stronami. Materiały te zamieszczamy w dziale Wertując wydawnictwa.

Tak oto kończy Pani Doktor swój list:

Cała Rada Redakcyjna pisma „Cracovia–Leopolis”! Kochani moi, dla Was wszystkich przesyłam z Wrocławia bardzo wielkie podziękowanie za mój Lwów – za takie Jego kochanie, Za Jego wczoraj, dziś i jutro. Życzę – trzymajcie tak dalej!

Bardzo dziękujemy. I my chcielibyśmy trzymać tak dalej. Jesteśmy dobrej myśli.

Serdeczne życzenia nadeszły również od p. mgr inż. Marii Graczyk z Ustronia:

... Niech ta wyjątkowa Noc trwałym blaskiem opromieni nadchodzący Nowy Rok – oby przyniósł całej Redakcji [...] dużo zdrowia i hartu ducha w walce z przeciwnościami w kontynuowaniu wspaniałego dzieła, jakim co kwartał obdarza wiernych czytelników.

Przypomnijmy, że Pani Maria jest córką i wnuczką znakomitych śpiewaczek lwowskich, o których pisaliśmy w CL 3/99.

Pani Halinie i Pani Marii oraz Ich Bliskim zasyłałyśmy moc najlepszych życzeń!

Od naszego Czytelnika, Korespondenta i Przyjaciela Tadeusza Józkowa dostaliśmy kolejny list (z 7 XII '11) dotyczący Jego krewnych po kądzieli Citków, głównie Michała Citkowa i jego zasług w I i II wojnie. Pan Tadeusz omawia znalezione ostatnio dokumenty i ważne historycznie fakty, prosząc o ich wydrukowanie w CL. Nawiązuje ponadto do książki prof. S.S. Niciej „Zadwórze – Polskie Termopile”, którą wydaliśmy przed laty.*

Niestety obecnie nie jesteśmy w stanie przedrukować długiego (choć ciekawego)

listu, ponieważ mamy dość podstawowe problemy z naszym kwartalnikiem i nie wiemy, czy w ogóle będzie się nadal ukazywał. A jeżeli, to w bardzo ograniczonej objętości. Natomiast kopię przekazujemy Profesorowi Niciei oraz włączamy do Archiwum Wschodnich Małopolan.

Panu Tadeuszowi dziękujemy za życzenia świąteczne i noworoczne oraz składamy takie same Jemu i Jego bliskim.

** Nie jesteśmy pewni, jak odmieniać te polskie nazwiska zakończone na -ów. Występują one również na Podhalu.*

List z Katowic od Pani red. Aliny Trzcionkowskiej, adresowany do red. Janusza Palucha:

Szanowny Panie Redaktorze, z wielką radością i wzruszeniem przeczytałam Pana komentarze do wydanego tomiku wierszy Stanisława Gottfrieda. Serdecznie dziękuję za zainteresowanie się tą poezją i umieszczenie jej na łamach Waszego kwartalnika.

Tomik ten, wydany przy współudziale Pani dyr. Biblioteki PAU w Krakowie, dr Karoliny Grodziskiej, jest rozsyłany w kraju i za granicę do bardzo wielu bibliotek, uniwersytetów, instytutów i profesorów zajmujących się tematyką Młodej Polski. Poezja ta zawsze spotyka się z wielkim uznaniem zarówno jeśli chodzi o bogate słownictwo, tematykę wierszy, jak również dojrzały styl mimo młodego wieku poety.

Książeczka została wydana prywatnie i poza rozsyłaniem jej do zainteresowanych nie mam możliwości reklamowania tej poezji. Dlatego zwracam się do Państwa z nieśmiałą prośbą, ażeby w przypadku wolnych szpałt przy składaniu Waszego kwartalnika, można było zapełnić je tymi wierszami.

Oczywiście chętnie zamieścimy kolejne wiersze Stanisława Gottfrieda (jeśli nasz kwartalnik przetrwa zły czas!), bo dla nas istotne jest i to, że był lwowianinem. Prosimy p. Janusza Palucha, by nam tomik Gottfrieda wypożyczył.

Bardzo ciekawy list nadesłał z Mierzowic (k. Prochowic, Opolskie) p. Antoni Dwojak:

POLSKOŚCI KRESÓW NIE DA SIĘ ZA-TRZĘĆ. Stanisław S. Nicieja w artykule Gród

Rewery, zamieszczonym w *Księdze Kresów Wschodnich* nr 5/2011 rozdział zatytułowany *Pogrzeb Wołodyjowskiego w stanisławowskiej Kolegiacie* kończy tymi słowami: *Dziś wchodzący do Kolegiaty stanisławowskiej Polacy szukają tego miejsca, gdzie stał katafalk i patrzą na ambonę, z której przemawiał Kamiński. Legenda przetrwała w Stanisławowie najgorsze czasy zacierania tu polskości.*

Te zdania znakomitego Autora zainspirowały mnie do poniższych słów.

O nieogarnięte wielkie nieba,
Polskości tam zatrzeć się nie da,
Bo nikt nie ma takiej siły
By cofnąć czasy, które tam się spełniły.
A był to ogromny czasu szmat,
Który trwał przeszło tysiąc lat.

Myśmy tej Ziemi (Kresów) nie zniszczyli,
Myśmy ją mądrze zagospodarowali

i użyźnili

Pracą, znojem i krwawymi pokoleń Rodaków
I nie da się zatrzeć śladów trudu

Polaków.

Bo olbrzymia większość wzniesionych tam
Wsi, miast, budowli i napisanych ksiąg,
To dzieło polskich umysłów i polskich rąk.
I tego nie zmieni nikt, nawet przeklęty ludzi krąg.

Dziękujemy za te budujące słowa. Dobrze je zapamiętamy!

ERRATA

Na okładce numeru CL 4/11 znalazły się cztery podobizny uczonych lwowskich XIX/XX w. (jak na wszystkich okładkach rocznika 2011), a między nimi zdjęcie prof. Wilhelma Mozera, na str. 1 zaś stosowne objaśnienia. Pod hasłem Wilhelm M o z e r jest błąd w dacie jego śmierci. Ma być rok **1958**, a nie **1941**. Przepraszamy, a p. Kłapkowskiemu dziękujemy za zwrócenie uwagi.

W tym samym numerze na str. 7 (prawa kolumna) w artykule *Powrót do źródeł* zaszła pomyłka: rzeka, nad którą leży Skole, to **Opór**, a nie *Stryj*, którego Opór jest dopływem. Na błąd zwróciły uwagę Osoby mocno związane z tymi stronami: Pani prof. Zofia Dudrówna, urodzona w Skolem (która załącza krótkie wspomnienie o swojej rzece – patrz strona 42) oraz Pan prof. Tadeusz Knaus, który, jak pisze, wielokrotnie kąpał się w tej rzece. Dziękujemy, a Panią Romę Ż. prosimy o wycieczkę w tamte strony. Na pewno znajdą się kandydaci z całego kraju!

WSPOMNIENIA ZIELONEGO MUNDURKA

dokończenie ze s. 8

temat, nie mieszczący się w ramach tego artykułu.

Harcerstwu zawdzięczam, że pełniąc funkcje bardziej lub mniej odpowiedzialne – od asystenta do rektora uczelni – rozumiałem, że porażki i sukcesy są nieodłącznym atrybutem we wszystkich zawodach i na wszystkich stanowiskach. Nie ma sukcesów bez porażek. Jedne i drugie nauczyliśmy się przyjmować z umiarem i godnością, nie załamywać się niepowodzeniami, nie upajać się sukcesami, z życzliwością traktować sukcesy innych, inspirować ich do dalszych osiągnięć: „nieść chętną pomoc bliżnim”.

W harcerstwie nauczyłem się wytrwałości i selektywnego wartościowania, potrzebnego szczególnie w pracy badawczej. Zdobywałem stopnie i tytuły naukowe nie po to, aby je posiadać i upajać się nimi, lecz aby pozwoliły mi korzystać ze zdobytej wiedzy i służyć społeczeństwu. Z satysfakcją obserwuję sukcesy moich uczniów (m.in. profesorów) i będę najszczęśliwszy, jeśli osiągną więcej ode mnie.

Po 50 latach pracy zawodowej odczuwam niedosyt, że można było znacznie więcej.

Powyższy tekst, nadesłany nam przez Autora, pochodzi z Jego niewydanych dotąd wspomnień, zatytułowanych „Okrucy jednego życia”. Bardzo dziękujemy, a zarazem życzymy rychłej edycji!

Notka biograficzna prof. Remigiusza Węgrzynowicza zawarta jest w CL 4/06.

17 grudnia 2011 w Katowicach zmarł **Zbigniew Feliks Władyka**. Był synem oficera Wojska Polskiego, który w 1944 r. poległ w walkach pod Monte Cassino. Zbigniew Władyka urodził się 20 IX 1923 r. w Kozłowie k. Tarnopola. W latach 1934–1939 był uczniem II Państwowego Humanistycznego Gimnazjum Męskiego w Tarnopolu. Po ekspatriacji w 1946 r. zamieszkał w Katowicach. Po studiach i uzyskaniu dyplomu magistra ekonomii na Akademii Handlowej w Krakowie przez długie lata był dyrektorem ekonomicznym Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego w Katowicach. Zbigniew Władyka był wielce zasłużonym działaczem Towarzystwa Miłośników Tarnopola, wielokrotnym uczestnikiem i współorganizatorem zjazdów byłych mieszkańców Tarnopola i Ziemi Tarnopolskiej. Pozostanie w naszej pamięci jako wielce uczynny, wspaniały kolega, wielki patriota i miłośnik Kresów Południowo-Wschodnich. Cześć Jego pamięci!

Tarnopolanie

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nac.)
Zasłużeni członkowie redakcji w stanie spoczynku: Romana Machowska, Maria Taszycka, Barbara Kościak

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Anna Stengl, tel. (12) 632 44 72, kom. 669 969 809

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji ABY ZROZUMIEĆ I ZAPAMIĘTAĆ	II	Poezja Tadeusz Chciuk-Celt MIASTO ZAWSZE WIERNE Feliks Konarski „Ref-Ren” NASZE TRZY TROSKI	44
Archiwum KARNAWAŁ (zdjęcie)	1	Proza Maria Obercowa Z GAZETKAMI PRZEZ MIASTO	45
Rocznica Obrony Lwowa 1918 Ks. Jan Nikiel HOMILIA 22 LISTOPADA 2011	2	Tadeusz Krzyżewski BOGACZ SERCA	47
Aleksander Medyński ŻELAZNA KOMPANIA NA ŁYCZAKOWIE	4	Sylwetki WACŁAW GABERLE JÓZEF GARBIŃ DZIEWCZYNA Z BANKNOTU	49 51 52
Wspomnienia Remigiusz Węgrzynowicz WSPOMNIENIA ZIEŁONEGO MUNDURKA Barbara Litwiniukowa KULPARKÓW Jacek Jedliński WIOSNA LWOWSKA NA POCZĄTKU XX W. Danuta Nespik EPITAFIUM DLA JADZI	6 9 15 18	Z tamtej strony WYDARZENIA	53
LIST Z PODZIĘKOWANIEM	19	W Krakowie i dalej UCZCZONO PAMIĘĆ MATKI I SYNA Z ŻAŁOBNEJ KARTY	53 54
Rozmowy Karol Chlipalski ROZMOWA Z EWĄ CIEŃSKĄ-FEDOROWICZ Janusz Paluch ROZMOWA Z BARBARĄ OLASIŃSKĄ	20 27	Kultura ♦ Nauka ZBIORY OJCA ADAMA URATOWANE Książki-czasopisma-biblioteki XI KONFERENCJA NAUKOWA NA UNIWER- SYTECIE PEDAGOGICZNYM W KRAKOWIE KRONIKA	55 56 56
Lista Ofiarodawców	26	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	58 60
Słownik geograficzno- -historyczny Hasła w rocznikach 2010 i 2011 Numery CL ze spisem haseł	33	Przeczytane KTO PAMIĘTA?	62
Nasza Ziemia Stanisław S. Nicieja JAREMCZE I WOROCZTA Tadeusz Olszański ATENY POKUCIA Zofia Dudrówna O MOIM OPORZE	34 38 42	Listy do Redakcji Errata	63 64